

Połączone Biblioteki WFIS UW, IFiS PAN i PTF

U.92846



39092846000000

KA

WILLIAM SHAKESPEARE

KRÓL LIR

TRAGEDJA W PIĘCIU AKTACH

SPOLSZCZYŁ

JAN KASPROWICZ



WARSZAWA

INSTYTUT WYDAWNICZY »BIBLIOTEKA POLSKA«

<http://rcin.org.pl>

000 144555

KRÓL LIR

Lt. 1. kv

V
u m

WILLIAM SHAKESPEARE

KRÓL LIR

TRAGEDJA W PIĘCIU AKTACH

SPOLSZCZYŁ

JAN KASPROWICZ



WARSZAWA

INSTYTUT WYDAWNICZY »BIBLIOTEKA POLSKA«

Połączone Biblioteki WFiS UW, IFiS PAN i PTF

U.92846



39092846000000



D.
19.03/12
A.22/12
UW

Zakłady graficzne Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska” w Bydgoszczy

U_KS-5524

<http://rcin.org.pl>

OSOBY:

LEAR (*czytaj: Lir*), król Brytanji
KRÓL FRANCJI
KSIĄŻĘ BURGUNDZKI
KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI
KSIĄŻĘ ALBAŃSKI
HRABIA KENT
HRABIA GLOUCESTER (*czytaj: Gloster*)
EDGAR, syn Glostera
EDMUND, nieprawy syn Glostera
KURAN, dworzanin
STARZEC, dzierżawca Glostera
LEKARZ
BŁAZEN
MARSZAŁEK DWORU Goneryli
PORUCZNIK w służbie Edmunda
RYCERZ z świty Goneryli
HEROLD
SŁUŻBA księcia kornwalijskiego
GONERYLA }
REGANA } córki Lira
KORDELJA }
RYCERZE z orszaku Lira, PORUCZNICY, GOŃCY,
ŻOŁNIERZE, DWORZANIE

Rzecz dzieje się w Brytanji.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Sala przyjęć w pałacu króla Lira.

(wchodzą KENT, GLOSTER i EDMUND)

KENT: Myślałem, że król bardziej sprzyja księciu Albanji, niż kornwalijskiemu.

GLOSTER: Tak nam się zawsze zdawało; ale dzisiaj, przy podziale królestwa, nie widać, którego z książąt ceni sobie więcej — tak odważa ich przymioty, iż wyboru pomiędzy jedną a drugą połową żadna skrupulatność uczynić nie zdoła.

KENT: Nie twój to syn, miłościwy panie?

GLOSTER: Wyhodowanie go było dla mnie ciężarem: tylokrotnie rumieniłem się, przyznając się do niego, że teraz jużem się zahartował w tym względzie.

KENT: Nie rozumiem waszmości.

GLOSTER: Panie miłościwy, matka tego młodziana znalazła się na rzeczy: dzięki temu pogrubiła w pasie i na prawdę, miłościwy panie, prędzej znalazła syna do kołyski, niż małżonka do łoża. Węszysz w tem waszmość jakiś krok fałszywy?

KENT: Nie mogę sobie życzyć, aby kroku tego nie było, ponieważ skutek tak jest wydatny.

GLOSTER: Ale mam syna, miłościwy panie, prawowitego; kilka lat starszy, niż ten; wyżej go przecież nie szacuję: chociaż ten łobuz przyszedł na świat nieco zuchwale, zanim go przywołano, to jednak matka jego była piękna; wesola była zabawa, kiedy go sprawiano, i dlatego też trzeba się przyznać do niego. Znasz tego szlachetnego pana, Edmundzie?

EDMUND: Nie, miłościwy panie.

GLOSTER: Imćpan Kent; pamiętaj-że o nim na przyszłość jako o moim zacnym przyjacielu.

EDMUND: Jestem na usługi waszej łaskawości.

KENT: Muszę kochać waćpana i proszę o bliższą znajomość.

EDMUND: Miłościwy panie, będę się starał zasłużyć na nią.

GLOSTER: Był zagranicą lat dziesięć i znowu tam się udaje. (*odgłos trąb*) Król nadchodzi.

(*wychodzą LIR, KSIAŻĘ KORNWALIJSKI, ALBAŃSKI, GONERYŁA, REGANA, KORDELJA i ŚWITA*)

LIR: Wprowadź tu panów Francji i Burgundji, Glosterze!

GLOSTER: Zaraz uczynię to, władco.

(*wychodzą GLOSTER i EDMUND*)

LIR: Tymczasem chcemy wyrazić co skrytsze
Nasze zamiary. Podajcież tu mapę.
Podzieliliśmy, wiedzcie, na trzy części
Nasze królestwo: naszym jest niezłomnem
Postanowieniem z trosk i spraw wszelakich
Otrząsnąć starość naszą i na młodsze
Zwalić je siły, samym zaś do grobu
Wlec się bez tego ciężaru. Nasz synu,
Panie Kornwalji, i niemniej nam miły
Synu albański, mamy tej godziny
Stanowczą wolę ogłosić posagi

Każdej z cór naszych, aby dziś zapobiec
Ważniom na przyszłość; księżęta francuski
Oraz burgundzki, współzawodniczący
O miłość naszej najmłodszej, oddawna
Zalotne czynią zabiegi na naszym
Dworze, czekając odpowiedzi. Mówcie,
Córki wy moje, jako że pragniemy
Pozbyć się rządów, dzierżaw i trosk stanu,
Która z was, pytam, najbardziej nas kocha,
Bym najhojniejsze wydzielił wiazanie
Według wymagań natury i zasług.
Ty, Gonerylo, nasza pierworodna,
Mówże ty pierwsza.

GONERYLA: Panie miłościwy,
Kocham was bardziej, niżliby to można
Ogarnąć słowem, więcej, niżli światłość,
Przestwórz, swobodę; nad wszystko, co bywa
W cenie, co rzadkie jest i co bogate;
Nie mniej od życia, zdrowia, czci, piękności;
Jak kiedykolwiek miłowało dziecko,
A ojciec bywał kochanym; to miłość,
Której wyrazić nie zdołam, tak biedny
Przy niej jest dech mój i tak słabe słowo!
Kocham was, ojczy, ponad wyraz wszelki.

KORDELJA: *(na stronie)*
Cóż ma Kordelja rzec? Kochać i milczeć!

LIR: Wszystkich obszarów od tej do tej linii,
Bogaty w lasy cieniste i łąny,
W obfite rzeki i łąki rozległe,
Ty będziesz panią. Twojem to na wieki
Oraz potomstwa Albanji... Cóż powie
Ta nasza druga córka, ta najdroższa
Nasza Regana, małżonka Kornwalji?

REGANA: Panie!

Z tegom samego kruszcu, co ma siostra,
Oceniaj-że mnie według jej wartości.
Czuję w swem szczerem sercu, iże ona
Moją prawdziwą wyraziła miłość,
Przecież nie całkiem, gdyż ja się być mienię
Nieprzyjaciółką wszelkich innych uciech,
Jakie zawiera najdrogocenniejszy
Krań naszych zmysłów — szczęśliwam jedynie,
Posiadłszy miłość waszej wysokości.

KORDELJA: *(na stronie)*

Biedna Kordelja! Przecież nie, albowiem
Miłość ma, wiem to napewno, bogatsza,
Niżli mój język.

LIR: Tobie i twoim pozostanie w spadku
Po wieczne czasy ta duża część trzecia
Naszego państwa pięknego, nie mniejsza
Co do przestrzeni, wartości i czasu
Od tej, którąśmy dali Goneryli.
A teraz, nasza pociecho ostatnia,
Ale jednak dodatnia, o której
Miłość zabiega wino Francji razem
Z mlekiem Burgundji, ażeby ją posieść:
Cóż ty powiedzieć możesz dla zyskania
Bogatszej trzeciej części, niż część siostr twych?
Mówże!

KORDELJA: Nic, panie młóściwy!

LIR: Jakto?
Nic?

KORDELJA: Nic!

LIR: Z niczego tylko nic być może
Powiedz raz jeszcze!

KORDELJA: O, ja nieszczęśliwa!
Do ust ja serca przenosić nie umiem.

Kocham królewską waszą mość, jak każe
Mój obowiązek, ni mniej ani więcej.

LIR: Co, co, Kordeljo! Poprawże troszeczkę
Swoją odpowiedź, bo inaczej własne
Popsowasz szczęście!

KORDELJA: O, dobry mój panie,
Wszak tyś mnie spłodził, wychował i kochał,
Ja ci odpłacam za te dobrodziejstwa
Tak, jak się godzi; jestem ci posłuszna,
Kocham i wielce cię szanuję. Poco
Mężów mym siostrom, jeśli powiadają,
Że tylko ciebie miłują? Jeżeli
Ja wyjdę zamaż, to ten, w czyje ręce
Złożę me śluby, weźmie też ze sobą
Połowę mojej miłości, połowę
Mych obowiązków i starań. Na pewne
Nigdy nie zawrę ja małżeńskich związków,
Jak moje siostry, iżbym miała tylko
Miłować ojca.

LIR: Płynie ci to z serca?

KORDELJA: Tak, dobry panie!

LIR:

Jakto? Taka młoda,

A tak nieczuła?

KORDELJA: Tak, młoda, o panie,
I szczerza.

LIR: Owszem, niechże twoja szczerłość
Będzie ci wianem: gdyż na blaski słońca,
Na tajemnice Hekaty i nocy,
Na to działanie wszystkich ciał niebieskich,
Przez które człowiek jest i być przestaje,
Zrzekam się tutaj wszelkich trosk ojcowskich,
Wszelkiej wspólnoty, wszelkiej krwi bliskości —
I bądź mnie odtąd i mojemu sercu
Obca na zawsze. Barbarzyński Scyta,

Lub ten, co z własnych dzieci czyni strawę,
Aby nasycić głód swój, będzie odtąd
Bliski mej piersi, znajdzie pomoc u mnie
I miłosierdzie, jak ty, moja niegdyś
Córka.

KENT: Łaskawy mój władco —

LIR: Milcz, Kencie!

Nie wchodź pomiędzy smoka i gniew jego!
Wielce-m ją kochał i myślałem spędzić
Resztę dni moich pod jej czułą pieczę,
Teraz — precz z mego oblicza! Spokojem
Niech mi tak będzie ten mój grób, jak ja dziś
Odrywam od niej me serce ojcowskie.
Zawołać tutaj Francję — któż się ruszy?
Wołać Burgundję!... Ty, panie Kornwalji,
I ty, Albanjo, dołączcie do wiana
Dwóch moich córek to trzecie. Jej pycha,
Którą szczerością zwie, niech ją poślubi!
Was ja we władzę moją przyodziewam
I w dostojenstwa najpierwsze i w wszystkie
Te przywileje, które towarzyszą
Majestatowi. My zaś, wzięwszy z sobą
Setkę rycerzy, których utrzymanie
Waszą jest rzeczą, będziemy, co miesiąc
Zmieniając kolej, przemieszkiwać u was.
Chcemy zachować sobie li królewski
Tytuł i wszelkie należne honory.
Rządy, dochody, atrybucje władzy,
Zostaną przy was, kochani synowie.
Na potwierdzenie tego między siebie
Podzielcie ten mój diadem.

(daje im koronę)

KENT: Wspaniały

Lirze, któregom zawsze czcił jak króla,

Kochał, jak ojca, słuchał, jako pana
I jak możnego patrona wspominał
W moich modlitwach — —

LIR: Łuk jest naciągnięty,
Zmykaj przed strzałą!

KENT: Niechże raczej padnie,
Choćby grot wtargnął w obręb mego serca!
Niechaj-że będzie Kent nieokrzesanym,
Skoro szaleńcem stał się Lir! Co czynisz,
Stary człowieku? Azali ty mniemasz,
Iż obowiązek złąknie się przemawiać,
Gdy się potęga do pochlebstw nagina!
Otwartość szczerą nakazuje honor,
Gdy w obłąkanie popadnie majestat.
Cofnij swój wyrok i lepszą rozważ
Wstrzymaj bezecny ten pośpiech! Ja-ć życiem
Odpowiem za swe mniemanie, iż twoja
Córka najmłodsza mniej ciebie nie kocha,
Że nie są przeciż pozbawieni serca
Ci, których słaby głos nie jest odbiciem
Próżni...

LIR: Zaprzestań, Kencie, na twe życie!

KENT: Zawszem swe życie miał li za rękojmię,
Iż je postawię przeciw twoim wrogom.
Nie lękam ja się stracić go, gdyż bodźcem
Jest dla mnie twoje bezpieczeństwo.

LIR: Precz mi
Z oczu!

KENT: Patrz lepiej, Lirze, i na zawsze
Pozwól mi tarczą być, w którą niech mierzą
Te twoje oczy.

LIR: Ha! Na Apollina!

KENT: Na Apollina!... Daremnie, o królu,
Na swoje bogi przysięgasz!

LIR: Ty łotrze!
Ty poddańczuchu!

(przyklada rękę do miecza)

KSIAŻĘTA ALBAŃSKI i KORNWALIJSKI:
Przebacz, drogi panie!

KENT: Zrób to;
Zabij lekarza swego i ohydnej
Chorobie swojej wypłać należytość!
Swą darowiznę cofnij, lub dopóki
Wydołam jeszcze dobyć krzyku z gardła,
Powiem-ć, że czynisz źle!...

LIR: Słuchaj, nędzarzu!
W imię lenniczej uległości, słuchaj:
Żeś usiłował przywieść nas do tego,
Byśmy złamali przysięgę — dotychczas
Myśmy się na to nigdy nie ważyli —
Żeś pragnął z dumą wcisnąć się wyniosłą
Pomiędzy wyrok nasz i naszą władzę —,
Czego nie zniesie ni nasza natura
Ani to nasze stanowisko — przeto
Z ramienia władzy naszej bierz nagrodę:
Pięć dni ci dajem, byś się zaopatrzył
W środki przeciwko utrapieniom świata,
A w dniu zaś szóstym uniesiesz ohydny
Grzbiet swój precz z granic naszego królestwa.
Gdyby w dziewiątym dniu twój kadłub wstrętny
Widzian był jeszcze pośród dzierzaw naszych,
Nie ujdiesz śmierci. Precz! Precz! Na Jowisza!
Nie cofnę tego!

KENT: Bywaj zdrów, królu; przy takiej twej zmianie
Wolność gdzie indziej, a tu jest wygnanie.

(do Kordelji)

Niechże, dziewico, strzegą cię bogowie,
Ty, co myśl zacną w trafnem dajesz słowie.

(do Regany i Goneryli)

Z waszych mów długich, brzmiących tak miłośnic,
Niechajże owoc nieplony wyrośnie.

Teraz was wszystkich żegna Kent i śpieszy
Ciosać los stary wśród nowych pieleszy.

*(odgłos trąb — wraca GLOSTER — wchodzi z KRÓLEM
FRANCJI, KSIĘCIEM BURGUNDJI i ŚWITAMI)*

GLOSTER: Oto jest, władco, Francja i Burgundja.

LIR: Panie burgundzki,

Wprzód się zwracamy do was, co z tym królem

Ubiegaliście się o naszą córkę:

Jakiego wiana najmniejszego chcecie,
Albo czy swych się zrzekacie zamiarów

Co do jej ręki?

KSIĄŻĘ BURGUNDZKI: Przepotężny władco,
Nie pragnę więcej nad to, co mi wasza
Ofiarowała wysokość, a wszakże
Mniej mi nie dacie!

LIR: Dostojny Burgundjo!

Dopóki była nam drogą, dopóty

W takiej mieliśmy ją cenie, lecz teraz

Wartość jej spadła... Panie, oto ona:

Jeżeli wam się cokolwiek podoba

W tym jej pozorze postaci lub cała

Do spółki z moją niełaską i z niczem

Więcej ponadto, niechże wówczas służy

Waszej miłości; jest tu i jest waszą!

KSIĄŻĘ BURGUNDZKI: Nie wiem, co rzec mam.

LIR: Czy z temi przywary,

Ogoloconą z przyjaciół, związaną

Z nami li naszą nienawiścią, w nasze

Uposażoną przekleństwo, dziś obcą

Dla nas przez naszą przysięgę, pragniecie

Wziąć ją czy raczej poniechać?

KSIAŻĘ BURGUNDZKI: O, przebacz,
Najmiłościwszy panie! W tych warunkach
Wybór ustaje.

LIR: A więc poniechajcie,
Bo, na potęgę, która mnie stworzyła,
Jam tu wymienił cały jej dobytek!

(do króla Francji)

Co do was, królu potężny, nie chciałbym
Tak się od waszej oddalić miłości,
Abym was parał tam, gdzie nienawidzę.
Przeto was proszę, zwróćcie chęci swoje
Na tor godniejszy, niżeli ku ścierce,
Którą natura niemal się rumieni
Uznać za swoją.

KRÓL FRANCJI: Rzecz to wielce dziwna,
By ta, co dotąd była najcenniejszym
Dla was przedmiotem, osnową uwielbień,
Balsamem waszej starości, najlepszą
I przynajdroższą, naraz, w okamgnieniu,
Mogła popełnić coś tak ohydneho,
Co w strzep bogatą zamieniło przedzę
Łaski. Zapewne, występki jej w takim
Musi być stopniu przeciwny naturze,
Iż ją zamienia w potwora, lub wasza
Względem niej czułość, którą się dotychczas
Tak chęlpiliście, nie była bez skazy;
By zaś w to wierzyć, tego przekonania
Rozsądek we mnie zaszczepić nie zdoła,
Chyba że cudem.

KORDELJA: Jeśli mi, o panie,
Zbывa na rzadkiej i oślizłej sztuce,
Ażeby mówić, czego nie mam w myśli —
Gdyż, co zamierzam, spełniam wprzód, nim mówię —,
To przecież proszę, niechże wasz majestat

Raczy oznajmić, że nie żadna jakaś
Plama występku, żaden mord ni podłość,
Żaden nieczysty czyn ni krok bezecny,
Obrał mnie dzisiaj z twoich łask i względów,
A jeno właśnie — co mnie tem bogatszą
Czyni — brak oczu wiecznie się miłających,
Oraz języka, którego nie mając,
Czuję się wielce szczęśliwą, jakkolwiek
To, czego nie mam, pozbawia mnie dzisiaj
Twojej miłości.

LIR: Lepiej ci się było
Nie rodzić wcale, niżli dla mnie większą
Nie być pociechą!

KRÓL FRANCJI: To tylko, nic więcej —
Nic?! Przyrodzona powolność, częstokroć
Zabraniająca nam mówić o sprawach,
Których dokonać przecież zamierzamy!
Panie burgundzki, jakżeż się oświadczysz
Co do królowej? Miłość nie miłością,
Gdy się z względami łączy, stojącemi
Poza istotnym celem! Chcesz li brać ją?
Sama jest sobie posagiem!

KSIĄŻĘ BURGUNDZKI: Daj tylko,
Dostojny Lirze, część, którąś przeznaczył,
A oto biorę Kordelję za rękę —
Księżnę Burgundji.

LIR: Nigdy! Poprzysiągłem,
Jestem stanowczy.

KSIĄŻĘ BURGUNDZKI: *(do Kordelji)*
 Żal mi więc, że ojca
Straciłaś, pani, tak jak stracić musisz
I męża.

KORDELJA: Pokój Burgundji!... Ponieważ
Wzgląd na majątek był jego miłością,
Przeto małżonką nigdy mu nie będę.

KRÓL FRANCJI: Cudna Kordeljo! Jesteś najbogatsza,
Będąc ubogą, w opuszczeniu swoim
Przenajwybrańsza, najbardziej kochana,
Tak odepchnięta! Biorę na swą własność
Ciebie i cnoty twoje; niech mam prawo
Podnieść dla siebie to, co porzucono.
Jakżeż to dziwne, bogowie, bogowie,
Że ta ich zimna obojętność cześć ma
I miłość moją rozpala! Los zdarzył,
Iż córka, którąś odsądził od wiana,
Jest, królu, panią Francji i jej pana.
Nie kupi z panów Burgundzkiej korony
Nikt tej tak cennej, a tak niecenionej!
Acz nielaskawi, pożegnaj ich mile:
Więcej tam zyskasz, niż tracisz w tę chwilę.

LIR: Masz-że ją, Francjo, my nie chcemy ninie
Mieć takiej córki. Niech nam z oczu zginie
Już raz na zawsze. Idź, gdzie pragniesz, w gości,
Bez błogosławieństw, bez naszej miłości...
Chodź, cny Burgundjo.

(odgłos trąb — wychodzą wszyscy, prócz króla Francji, Goneryli, Regany i Kordelji)

KRÓL FRANCJI: Pożegnaj swe siostry.

KORDELJA: Klejnoty ojca, Kordelja was rzuca
Ze łzami w oku. Wiem ja, kim jesteście,
A, jako siostra, wzdrygam się wymieniać
Nazw waszych przywar. Miłujcie rodzica,
Waszym wymownym polecam go sercom:
Lecz gdyby jeszcze miał mnie w łasce swojej,
Do lepszym go zawiodła ostoi.
Żegnajcie obie!

REGANA: Ty nam obowiązków
Nie przepisywaj!

GONERYLA: Zadowolaj męża,
Co, jak jałmużnę, dostał coś od losu.
Skąpa w posłuchu byłaś, więc powody
Słuszne, że skąpej doznajesz nagrody.

KORDELJA: Wyjawi kiedyś czas, co chytróść kryje,
Kto tai błędy, ten wstydu dożyje.
Bądźcie szczęśliwe!

KRÓL FRANCJI: Chodź, piękna Kordeljo!
(wychodzą KRÓL FRANCJI i KORDELJA)

GONERYLA: Siostró, nie mała rzecz to, którą ci mam
powiedzieć, a która bardzo blisko obchodzi nas obie. Myślę,
że ojciec chce stąd pójść tej nocy.

REGANA: Jak najpewniej, i to do ciebie; następnego mie-
siąca do nas.

GONERYLA: Widzisz, jak kapryśną jest jego starość.
Niemale są spostrzeżenia nasze w tej mierze: zawsze siostrę
naszą kochał najbardziej, a jak niedorzecznym wyrokiem
odepchnął ją teraz od siebie, rzecz to aż nazbyt wpadająca
w oczy.

REGANA: Ułomność to jego wieku, ale on siebie lichó
znał oddawna.

GONERYLA: W najlepszym i najzdrowszym okresie swo-
im zawsze był popędliwy; musimy więc oczekiwać od wieku
jego nie tylko zakorzenionych zdawna słabostek, ale ponadto
i nieokiełzanej samowoli, którą ułomne i choleryczne lata
prowadzą za sobą.

REGANA: Takie nieobliczalne wybryki, jak to wygnanie
Kenta, chyba i nas spotkać mogą.

GONERYLA: Tego rodzaju komplementów, jak przy
pożegnaniu jego z panem francuskim, będzie więcej. Proszę
cię, trzymajmy się razem: jeżeli ojciec nasz zechce powagę
swą podtrzymywać w takim usposobieniu, jakie ma

obecnie, to owo ustąpienie nam władzy może nam tylko wyrządzić szkodę.

REGANA: Będziemy się nad tem zastanawiały dalej.

GONERYLA: Trzeba coś uczynić i to dopóki żelazo gorące.

SCENA II.

Izba w zamku hrabiego Glostera.

(wchodzi EDMUND z listem)

EDMUND: Tyś mojem bóstwem, naturo, twojemu
Służę li prawu. Dlaczego mam znosić
Plagę zwyczaju i pozwalać na to,
Aby krzywdziło mnie wścibstwo narodów,
Żem się po jakimś bracie o dwanaście
Lub o czternaście opóźnił miesiący?
Dlaczego bękart? Dlaczego nieprawy?
Jeśli me członki tak samo spoiste,
Umysł tak samo szlachetny, ma postać
Równie prawdziwa, jak u rzetelnego
Potomka samej jejności? I zaco
Mają cechować nas piętnem nieprawych?
Prawy, nieprawy! Bękarctwo! Bękarci! —
Nas, co z krzepoty złodziejskiej natury
Otrzymaliśmy więcej zwartej treści,
Ognia i życia, niżli stado błaznów,
Spłodzonych w stęchłym, ckliwym, nudnym łożu
Między zaśnięciem a zbudzeniem? Przeto,
Prawy Edgarze, muszę mieć twą ziemię!
Miłości ojca naszego jednako
Bliski jest bękart Edmund, jak potomek
Prawy... Nadobne to jest słowo: prawy
Potomek!... Owszem, prawy mój Edgarze,

Jeżeli swoje zrobi list ten, jeśli
Uda się zamysł mój, nieprawy Edmund
Ponad prawego wzbije się potomka.
Ja rosne, kwitnę! A teraz, bogowie,
Dopomagajcie bękartom!

(*wchodzi* GLOSTER)

GLOSTER:

Kent tak wygnany! Francuz odszedł z gniewem!
I król tej nocy wyniósł się! Zdał władzę!
Ograniczony tylko do dochodu!
Wszystko to poszło, jakby giez ukąsił!
I coś nowego, Edmundzie? Co słyhać?

EDMUND: Nic, jeśli łaska.

(*chowa list*)

GLOSTER: Dlaczego z takim pośpiechem usiłujesz
schować to pismo?

EDMUND: Nie wiem nic nowego, miłościwy panie.

GLOSTER: Cóżto za list czytałeś?

EDMUND: Nic, miłościwy panie.

GLOSTER: Nic? A poco to straszliwe kwapienie
się z nim do kieszeni? Właściwe nic nie ma takiej potrzeby
ukrywania się. Pokaż, dawaj, jeśli to nic, obejdę się bez
okularów.

EDMUND: Błagam cię, miłościwy panie, racz wybaczyć!
To list od brata; całęgom jeszcze nie przeczytał, a o ilem go
przerzucił, to nie znajduję nic stosownego do przejrzenia
dla was.

GLOSTER: Dajże mi list ten waszmość.

EDMUND: Źle uczynię, zatrzymując go czy oddając.
Treść, o ile ja zrozumiałem, jest naganna.

GLOSTER: Zobaczymy, zobaczymy.

EDMUND: Spodziewam się na usprawiedliwienie mego
brata, że pisał to jedynie dla wypróbowania i doświadczenia
mej cnoty.

GLOSTER: (*czyta*) „Ta uprzejmość i uszanowanie dla wieku zaprawia nam goryczą najlepsze nasze lata; odbiera nam dobytki, aże starość nasza nie będzie ich mogła używać; zaczynam śmieszłą i niedorzeczną znajdywać niewolę w tem jarzmie podeszłej tyranji, która panuje nie dlatego, iż ma siłę, ale, że jest cierpiana. Przyjdź do mnie, ażeby więcej pomówić o tem. Gdyby ojciec nasz mógł spać, dopóki jabym go nie zbudził, używałbyś na zawsze połowy jego dochodów i żyłbyś miłowany przez brata Edgara“. — Hm! sprzysiężenie!... „Spać, dopóki jabym go nie zbudził, używałbyś na zawsze połowy jego dochodów“... Syn mój Edgar! Miałże on rękę, aby to pisać? Serce i mózg, aby to wymyśleć!... Kiedyż to przyszło do waści? Któż to przyniósł?

EDMUND: Nie przyniesiono mi tego, miłościwy panie; w tem właśnie jest mądrość, znalazłem to w moim pokoju, wrzucone przez okno.

GLOSTER: Poznajesz po charakterze, iż to pismo twojego brata?

EDMUND: Gdyby treść była dobra, miłościwy panie, odważyłbym przysiąc, iż to jego; ale ze względu na to, radbym myśleć, że tak nie jest.

GLOSTER: To jego.

EDMUND: Jego to ręka, miłościwy panie, spodziewam się przecie, że serca jego w treści tej niema.

GLOSTER: Nigdy on przedtem nie badał waści w tej sprawie?

EDMUND: Nigdy, miłościwy panie; jenom go często słyszał dowodzącego, że jeśli synowie w dojrzałym są wieku, a ojcowie na schyłku, to ojciec powinien być niby na opiece syna, zaś syn zarządzać jego majątkami.

GLOSTER: O nędznik! Nędznik!... To samo wiadać z jego listu! Ohydny! Nędznik! Wyrodny, przeklęty,

bestjalski nędznik! Gorszy od bestji. Idź-że, poszukaj go; zamknę go! Obrzydliwy nędznik! Gdzież on?

EDMUND: Nie wiem na pewno, miłościwy panie. Gdyby wam się podobało powściągnąć oburzenie wasze przeciwko mojemu bratu, dopóki lepszemu nie zdobylibyście dowodu co do jego zamiaru, pewniejszą poszlibyście drogą; gdybyście jednak postępowali gwałtownie i pomylili się co do jego zamysłów, uczyniłoby to wielki uszczerbek waszemu honorowi i na strzępy stargałoby serce jego posłuszeństwa. Gotów jestem poręczyć za niego życiem, iż pisał to celem doświadczenia mych uczuć dla waszej cześci, a nie w żadnej innej niebezpiecznej myśli.

GLOSTER: Tak waść mniemasz?

EDMUND: Jeśli wasza cześć uzna to za stosowne, postawię was w miejscu, gdzie będziecie mogli nas słyszeć rozmawiających o tem i, na własne uszy nabrawszy pewności, mieć będziecie swoje zadowolenie; i to bez żadnej dalszej zwłoki, jeszcze dziś wieczór.

GLOSTER: Takim potworem być on nie może.

EDMUND: I nie jest nim, na pewno.

GLOSTER: Względem ojca, który go tak czule, tak całkowicie miłował. Nieba i ziemi! Edmundzie, wybadaj go, wgrzyź się w niego, proszę cię, pokieruj sprawą według własnego rozumu. Ogołociłbym się z wszystkiego, bylebym nabrał pewności.

EDMUND: Poszukam go natychmiast, rzecz ułożę, jak się tylko da, i powiadomię was o tem.

GLOSTER: Te ostatnie zaćmienia słońca i księżyca nie wróżą nam nic dobrego; nauka przyrody może sobie tutaj rozumować tak czy owak, samą przyrodę biczącą przecież ich skutki: miłość chłodnie, przyjaźń odpada, bracia się rozdzielają; po miastach rozruchy, po wsiach zatargi, w pałacach zdrada; pryska związek pomiędzy synem a ojcem. Ten ~~ład~~ładak mój potwierdza te przepowiednie; tu syn prze-

ciwko ojcu; król wypada z toru przyrody: tu ojciec przeciwko dziecku. Widzieliśmy piękne rzeczy za dni naszych: knowania, nieczułość, zdradzieckość; wszelkie rujnujące przewroty ścigają nas i niepokoją aż do grobu... Poszukaj tego łotra, Edmundzie; nic na tem nie stracisz; uczyn to jak najtroskliwiej... I ten szlachetny, szczerzy, serdeczny Kent wygnany! Występkiem jego uczciwość!... To dziwne!

(wychodzi)

EDMUND: Takie to już przedziwne błazeństwo świata, że gdy chorujemy na los, częstokroć skutkiem własnego nieumiarkowania — winę niepowodzeń swoich składamy na słońce, księżyc i gwiazdy, jak gdybyśmy byli łotrami z musu, głupcami z rządzenia niebios, łajdakami, złodziejami i oszustami z nacisku przestworów; pijanicami, kłamcami i cudzołożcami z narzuconego nam ulegania wpływom planet, a więc pod każdym względem złymi z poduszczenia bożego — przedziwny wykręt dla rozpustnika, ażeby lubieżne usposobienie swoje składać na karb gwiazd. Ojciec mój porozumiał się z moją matką pod Ogonem Smoczym, a narodziny moje spełniły się pod Ursa Major, za tem poszło, że jestem nieco gruby i sprośny. E! Stałbym się tem, czem jestem, gdyby najwstydlivsza z gwiazd na firmamencie zapoczątkowała moje bękarcie na świat przyjsie... Edgar! Jawi się, jak katastrofa w starej komedji. Hasło moje: złodziejska melancholja a wzdychać będę niby Tomek z Bedlamu.

(wchodzi EDGAR)

O, te zaćmienia, one są zwiastunami tych niezgód! Fa, sol, la, mi!

EDGAR: Cóż tam nowego, bracie Edmundzie. W jakiejże to jesteś głębokiej zadumie?

EDMUND: Rozmyślał, bracie, nad przepowiednią, którą czytałem w tych dniach, co też nastąpi po tych zaćmieniach.

EDGAR: Zajmujesz się takimi sprawami?

EDMUND: Zapewniam cię, że skutki, o których piszą, zjawią się, niestety: przeciwny naturze stosunek pomiędzy dzieckiem a rodzicem, pomór, drożyzna, rozerwanie dawnych przyjaźni, podziały w państwie, groźby i złorzeczenia przeciw królowi i szlachcie, bezzasadna nieufność, wygnanie przyjaciół, rozprzężenie w wojsku, starganie związków małżeńskich i nie wiem, co jeszcze.

EDGAR: Dawno należysz do sekty astronomów?

EDMUND: No... no... Kiedyś widział ojca mojego po raz ostatni?

EDGAR: Wczoraj wieczorem.

EDMUND: Mówiłeś z nim?

EDGAR: Tak, razem dwie godziny.

EDMUND: W dobrych rozstaliście się stosunkach? Nie dostrzegłeś w nim niezadowolenia w słowie czy obejściu?

EDGAR: Najmniejszego.

EDMUND: Zastanów się, czem mogłeś go obrazić, i ja cię proszę, unikaj jego obecności, dopóki nieco czasu nie ostudzi gorączki jego gniewu, który w tej chwili tak w nim szaleje, że potraktowanie twojej osoby chyba go nie uśmierzy.

EDGAR: Jakiś łotr wyrządził mi krzywdę.

EDMUND: I ja się tego obawiam; błagam cię, unikaj go jak najusilniej, dopóki nie złagodnieje gwałtowność jego wściekłości i, jak powiadam, usuń się ze mną do mego pokoju, gdzie ja postaram się o to, abyś słyszał, co powie jego miłość. Proszę cię, chodź, oto jest klucz; a jeśli ruszysz się z domu, to wychodź uzbrojony.

EDGAR: Uzbrojony, bracie!

EDMUND: Bracie, radzę ci dla twego dobra; nie jestem uczciwym człowiekiem, jeśli się coś dobrego święci dla ciebie. Ledwie ci tylko napomknął, com widział i słyszał, nic to w porównaniu z obrazem i grozą tego wszystkiego; proszę cię, idź-że.

EDGAR: Rychło się zobaczymy?

EDMUND: Ja ci pomogę w twej sprawie.

(EDGAR *wychodzi*)

Ten łatwowierny ojciec, ten szlachetny
 Brat mój, którego natura tak wszelkiej
 Daleka krzywdzie, iż nie podejrzewa
 Nigdy niczego. Ta głupia pozornosc
 Wygodną będzie powózką dla moich
 Praktyk. Już widzę swój interes: jeśli
 Nie ród, to rozum ziemię mi przyniesie —
 To, co się przyda, u mnie dobrem zwie się!
 (*wychodzi*)

SCENA III.

Komnata w pałacu księcia Albanji.

(*wchodzą GONERYLA i MARSZAŁEK DWORU*)

GONERYLA: Czy ojciec mój pobił mojego sługę
 Zato, że lżył jego biazna?

MARSZAŁEK: Tak, miłościwa pani.

GONERYLA: Dzień i noc on mi dokucza; co chwila
 Na ten lub owy zdobywa się wybryk,
 Co nas wytrąca wszystkich z równowagi;
 Ja nie wytrzymam: burdy wyprawiają
 Jego rycerze, a on sam za każdą
 Lży nas drobnostkę. Gdy powróci z łowów,
 Nie chcę z nim mówić, oznajmię, żem chora.
 Gdy mu będziecie służyć mniej skwapliwie,
 Dobrze zrobicie; ja za to odpowiem.

MARSZAŁEK DWORU:

Nadchodzi, słyszę, miłościwa pani.

GONERYLA: Okaż mu waćpan w czemkolwiek wy-
 Lekceważenie — ty i reszta s. użby. [raźne

Pragnę, ażeby przyszło do zatargu.
 Będzie mu nie w smak, zaprowadź go waszmość
 Do mojej siostry, która — ja wiem o tem —
 Zgadza się ze mną w jednym, iż nie znosi
 Aby ktoś nad nią przewodził. Szalony
 Starzec! Wciąż chciałby rozporządzać władzą,
 Której się pozbył! Tak, na moje życie,
 Stare półgłówki stają się znów dziećmi:
 Trzeba ich trzymać w korbach, jeśli tylko
 Naszej dobroci nadużyłby chcieli.
 Pomnij, com rzekła.

MARSZAŁEK DWORU: Owszem, jaśnie pani.

GONERYLA: Na orszak jego patrzajcie ozięble.
 Mniejsza, co z tego wyniknie; więc zechciej
 Pouczyć służbę; radabym wydobyć —
 I wydobędę — sposobność z tej sprawy,
 By wypowiedzieć się o tem. Napiszę
 Zaraz do siostry, ażeby się mojej
 Trzymała drogi. Idź, przygotuj obiad...
(wychodzą)

SCENA IV.

K o m n a t a t a s a m a.

(wchodzi KENT w przebraniu)

KENT: Jeżeli tylko zdołam jako tako
 Obcych pożyczyć akcentów, co moją
 Będą umiały przeinaczyć mowę,
 Dobry mój zamiar całkiem mnie zawiedzie
 Do tego celu, dla którego zmienić
 Tę moją postać. Więc wygnany Kencie,
 Możesz li w miejscu gdzie cię potępiono,

Spełniać swę służbę, to pan twój, którego
Tak ukochałeś, przekona się o tem,
Żeś niestrudzony w zabiegach.

(odgłos rogów poza sceną — wchodzi LIR ze ŚWITĄ)

LIR: Nie każcie mi ani chwili czekać na obiad; idźcie
go przygotować. *(wychodzi JEDEN ze ŚWITY)* A tu
co takiego? Kto ty?

KENT: Człowiek, miłościwy panie.

LIR: Jakiego jesteś zawodu? Czego chcesz od nas?

KENT: Moim zawodem nie być gorszym, niżli się
wydaję; wiernie chcę służyć temu, kto ma we mnie
wiarę, miłować tego, kto poczciw, obcować z tym, kto
ma rozum a mało mówi; obawiać się sądu, bić się, gdy
inaczej nie można, i nie jadać ryby.

LIR: Któż więc jesteś?

KENT: Człowiek prostoduszny, a biedny, jak król.

LIR: Jeśli na poddanego jesteś tak biedny, jak on
na króla, toś dostatecznie jest biedny. Czego chcesz?

KENT: Służby.

LIR: Komu chcesz służyć?

KENT: Waszmości.

LIR: Znasz mnie, człowieku?

KENT: Nie, panie: ale macie coś w swojej postawie,
co radbym nazywać panem.

LIR: Cóż to takiego?

KENT: Powaga.

LIR: A jaką umiesz wykonywać służbę?

KENT: Umiem milczeć uczciwie, kłusować, biegać,
opowieść ciekawą popsuć opowiadaniem jej i wyraźne
polecenia wypełniać poprostu: do czego pospolity czło-
wiek, ja się do tego nadaję, a co najlepszego jest
we mnie, to pilność.

LIR: W jakim jesteś wieku?

KENT: Ani w tak młodym, panie, ażeby zakochać się w białogłowie zato, że śpiewa, ani w tak podeszłym, ażeby szaleć za nią dla niczego: mam lat czterdzieści i ośm na karku.

LIR: Chodź za mną, będziesz mi służył; jeżeli nie wydasz mi się gorszym po obiedzie, to nieprędko rozłączę się z tobą... Obiad! Hej! obiad! Gdzie mój pacholek, mój błazen? Idź tam kto i przywołać mi tu błazna!

(*wychodzi JEDEN ze ŚWITY — wchodzi MARSZAŁEK DWORU*)

Słuchaj jeno aspan, gdzie moja córka?

MARSZAŁEK DWORU: Za pozwoleniem — — —
(*wychodzi*)

LIR: Co ten człowiek powiedział? Zawołać mi z powrotem tego cymbała. (*wychodzi JEDEN ze ŚWITY*) Gdzież mój błazen? He! Zda mi się, że wszystko się pospało! (*wraca JEDEN z RYCERZY*). I cóż? Gdzież ten truteń?

RYCERZ: Powiada, miłościwy panie, że córka wasza ma się niedobrze.

LIR: Dlaczego ten łajdak nie przyszedł, kiedym go wołał?

RYCERZ: Miłościwy panie, odpowiedział mi krótko a węzłowato, że nie chce.

LIR: Nie chce!

RYCERZ: Miłościwy panie, ja nie wiem, co się dzieje; ale, według mego zdania, wasza wysokość nie spotyka się teraz z taką uroczystą atencją, do jakiej przywykłeś: widać tu wielki ubytek uprzejmości zarówno u ogółu domowników, jak i u księcia i u twojej córki, panie.

LIR: Ha! Tak powiadasz.

RYCERZ: Proszę, wybaczyć, miłościwy panie, jeśli się myślę, albowiem powinność moja milczeć nie może, jeśli mi się zdaje, że waszej wysokości dzieje się krzywda.

LIR: Uprzytomniasz mi tylko spostrzeżenie moje własne, zauważyłem odniedawna jakąś bardzo widoczną opieszałość, którą przypisywałem raczej zazdrosnej mojej podejrzliwości, aniżeli istotnemu zamiarowi i rozmyślnemu lekceważeniu. Będę w to wglądał głębiej — — ale gdzież jest mój blazen? Nie widziałem go od dwóch dni.

RYCERZ: Odkąd młoda moja pani udała się do Francji, blazen, miłościwy panie, bardzo jest zmitręzony.

LIR: Dosyć o tem; doskonalem to zauważył... Idź waćpan i powiedz mojej córce, że chciałbym się z nią widzieć. (*wychodzi JEDEN ze ŚWITY*) A waćpan zawołaj mi blazna (*wychodzi DRUGI ze ŚWITY — wraca MARSZAŁEK DWORU*). O, waszmość panie-dzieju, chodź-że tu waszmość! Kimże ja jestem, panie-dzieju?

MARSZAŁEK DWORU: Ojcem mej pani.

LIR: „Ojcem mej pani?!“ Hultajem mego pana, ty psi synu! Ty pacholku! Ty pokurczu!

MARSZAŁEK DWORU: Nie jestem ani jednym ani drugim, milordzie! Wypraszam to sobie.

LIR: Będziesz mnie obrzucał wzrokiem, ty szelmo?

MARSZAŁEK DWORU: Ja bić się nie dam, milordzie.

KENT: (*podbijając mu nogi*) Ani podstawiać sobie nogi, ty nędzny piłkarzu.

LIR: Dziękuję ci, towarzyszu; służysz mi i ja cię będę miłował.

KENT: Dalej-że, aspan, wstań, wynoś się! Nauczę ja waszeci czynić różnicę! Wynoś się! Wynoś! Chcesz li jeszcze raz zmierzyć swą długość, drażalu, to zostań, a nie, to wynoś się, ruszaj! Masz aspan rozum?... Tak!...

(*wyrzuca MARSZAŁKA za drzwi*)

LIR: Ano, poczciwy mój chłopie, dziękuję ci; masz tu zadatek za służbę.

(*daje Kentowi pieniądze — wchodzi BŁAZEN*)

BŁAZEN: Niech go i ja sobie kupię! Masz mój kapturek! (*podaje Kentowi swój kapturek*)

LIR: Cóż to ma znaczyć, mój chłopcze! Co robisz?

BŁAZEN: Byłoby najlepiej dla waszeci wziąć sobie mój kapturek.

KENT: Dlaczego, błazenu?

BŁAZEN: Dlaczego? Boś wziął stronę kogoś, co popadł w niełaskę. Jeżeli nie umiesz uśmiechać się, jak wiatr wieje, to zaraz dostaniesz kataru; masz, bierz mój kapturek; ano, ten człowiek wygnał dwie swoje córki, a trzeciej dał błogosławieństwo wbrew swojej woli; jeśli mu chcesz towarzyszyć, to koniecznie musisz nosić mój kapturek. (*do Lira*) Ano, wujaszku! Chciałbym mieć dwa kapturki i dwie córy!

LIR: Dlaczego, mój chłopcze?

BŁAZEN: Oddawszy im całą chudobę, kapturki zachowałbym dla siebie. Ten jest mój, zebrz o drugi u córek!

LIR: Strzeż się aspan, mam harap!

BŁAZEN: Prawda to pies, który leżeć musi do budy, wyganiać go trzeba harapem, gdy jejmość pani suczka może sobie stać przy ogniu i śmierdzieć.

LIR: Gorzka pigułka dla mnie!

BŁAZEN: Nauczę waszmości jednej przypowieści.

LIR: Owszem.

BŁAZEN: Zważaj, wujaszku!

*Więcej miej, niż zapowiadasz,
Więcej wiedz, niżeli gadasz,
Mniej pożyczaj, niż posiadasz,
Jeźdź, jeśli z nóg upadasz,
Zgłębiaj tak, aż sprawę zbadasz,*

*Porzuć kubki i kobietki,
Pilnuj bramy i kaletki,
A mieć będziesz chyba wnetki
Więcej, niż od sta dwie setki.*

KENT: To jest nic, błaznie.

BŁAZEN: A więc jest to, jak mowa niezapłaconego adwokata — nie dałeś mi nic za to. Czy z niczego nie możesz żadnego zrobić użytku, wujaszku?

LIR: Jużci, że nie, chłopaczkę; z niczego będzie nic.

BŁAZEN: *(do Kenta)* Powiedz mu, że właśnie tyle wynosi dochód z jego kraju: błaznowi on nie uwierzy.

LIR: Cierpki błazen!

BŁAZEN: Znasz różnicę, kmoterku, pomiędzy błaznem cierpkim, a błaznem słodkim?

LIR: Nie, synu; wykaż mi ją.

BŁAZEN: *Kto ci doradził, panie,
Z swych ziem uczynić dań,
Ten niech tu przy mnie stanie,
Lub ty za niego stań:
Słodki i cierpki błazen
Wnet się ukaże nam,
Ten jeden w pstrym kaftanie,
A drugi ot, jest tam!*

LIR: Zowiesz mnie błaznem, chłopaczkę?

BŁAZEN: Wszystkie inne tytuły swe porozdawałeś, z tym się urodziłeś.

KENT: Nie we wszystkim on błazen, miłościwy panie!

BŁAZEN: Nie, ichmość panowie i wielcy ludzie nie pozwalają mi na to; gdybym miał nato monopol, to oni musieliby mieć w nim udział; a także ichmości panie nie pozostawiłyby mi błazna całego, chciałyby złapać

coś z niego... Daj mi jedno jaje, wujaszku, a ja ci dam za nie dwie korony.

LIR: Cóż to mają być za dwie korony?

BŁAZEN: Ano, przekroiwszy jaje i wyjadłszy ośrodek, dam ci obie korony jaja. Ty, przekroiwszy swą koronę i oddawszy dwie jej połowy poniosłeś osła na grzbiecie przez błoto; mało masz dowcipu w swej lysej koronie, jeśliś darował złotą. Jeżeli tutaj mówię, jako ja, to każ ściągnąć harapem tego, co pierwszy utrzymać tak będzie.

(śpiewa)

*Dziś wszelki błazen ledwie zipie,
Gdyż mędracy pogłupieli,
Jak się rozeznać w swym dowcipie,
Dawno już zapomnieli.*

LIR: Od kiedyżto szafujesz tak piosenkami, chłopaczku?

BŁAZEN: Przywykłem do nich, wujaszku, odkąd córki swe uczyniłeś swemi matkami, kiedyś im dał różgę, a sobie spuściłeś portki.

(śpiewa)

*Tamten z uciechy płacz aż dławił,
Jam śpiewem się pocieszał,
Że w ciuciubabkę król się bawił
I między błazny wmieszał.*

Proszę cię, wujaszku, weź sobie bakałarza, ażeby błazna twego kłamać nauczył: radbym bardzo nauczyć się kłamać.

LIR: Gdy wasze będziesz kłamał, dam batem waszeci.

BŁAZEN: Dziwuję się, co za pokrewieństwo jest pomiędzy tobą, a twemi córkami; one chcą mi dać batem, gdy mówię prawdę, a ty chcesz mi dać batem, gdy kłamię; czasami też dostaję batem, gdy siedzę cicho.

Wolałbym być czemkolwiek bądź, niż błaznem. A przecież nie chciałbym być tobą, wujaszku: oberwałeś swój rozum z obu stron i nie zostawiłeś nic w pośrodku; oto jedna z tych obrywek.

(wchodzi GONERYLA)

LIR: I cóż tam, córko! Znów chmura na czole. W ostatnich czasach chmurzysz się zbyt często.

BŁAZEN: Byleś chłopcem do rzeczy, gdyś nie potrzebował zważać na jej chmury — teraz jesteś zerem bez cyfry; ja jestem czemś lepszym, niż ty obecnie; jestem błaznem, a ty jesteś niczem. *(do Goneryli)* Tak, w istocie, muszę trzymać język za zębami, tak każe mi, pani, wasze oblicze, choć nic nie mówicie. Ha! ha!

*Kto wzgardził skórką i okruchem,
Ten wnet odejdzie z pustym brzuchem.
To wyluszczony strączek.*

GONERYLA: Nie sam ten, panie, wyuzdany błazen,
Ale i inni z waszej czelnej świty
Wszczynają zwady wciąż i niepokoje,
Zgiełki i bitki nie do wytrzymania.
Panie!

Myślałam sobie, że, gdy wam to powiem,
Znajdę na pewno pomoc, ale teraz
Wielce się boję po tem, co niedawno
I mówiliście i coście czynili,
Że popieracie tryb ten i że sami
Wywołujecie go swą zgodą. Jeśli
Tak ma się sprawa, nie ujdzie nagany
Taki występki i kara nie zaśni,
Co, do zbawczego zmierzając spokoju,
Może wam przykrość sprawić w swoim biegu,
A coby dla nas było inną razą

Wstydem, to dzisiaj nazywa konieczność
Postępowaniem roztropnem.

BŁAZEN: Bo wiecie, wujaszku:
Wróbel kukulkę póty paść gotowy,
Aż mu jej młode nie odgryzie głowy.
Tak, świeca zgasła i my zostaliśmy w ciemności.

LIR: Tyś naszą córką?

GONERYLA: Miłościwy panie,
Chciałabym tego, ażebyś się zdrowym
Kierował, panie, rozsądkiem, którego
Masz podostatkiem, wiem o tem, i zbył się
Usposobienia, co was odniedawna
Tak przemieniło, że już nie jesteście
Tem, czem jesteście naprawdę.

BŁAZEN: Czyż osioł nie pozna się na tem, gdy wóz
ciągnie konia? — Brawo, Maciusiu, kocham cię!

LIR: Zna mnie kto tutaj? To nie Lir? Tak chodzi
Lir? Tak on mówi? Gdzież są jego oczy?
Umysł mu osłabł, albo jego bystrość
Popadła w letarg! Ha! Czyliż ja czuwam?
O, nie, tak nie jest. — Któż powie, kim jestem?

BŁAZEN: Cieniem Lira!

LIR: Radbym to wiedzieć, bo według tych oznak
Królewskiej władzy, wedle świadomości
Oraz rozumu mógłbym przekonanie
Powziąć fałszywe, że mam córki.

BŁAZEN: Które z ciebie posłusznego uczynią ojca.

LIR: Nazwisko wasze, piękna pani?

GONERYLA: Zdumienie takie wielce czuć innemi,
Panie, wybryki waszemi. Ja-ć błagam,
Byście nie chcieli pojmować naopak
Moich zamiarów. Starzyście i godni,
Więc bądźcie także rozumni! Trzymacie

Setkę rycerzy tu u mnie i giermków,
Tak rozwydrzonych, rozpustnych i czelnych,
Że, zarażony ich obyczajami,
Widzi się dwór nasz szynkownianą budą.
Epikureizm i rozpusta sprawia,
Że jest podobien raczej do oberży
Lub do bordelu, niż do poważnego
Pałacu książąt. Za natychmiastowem
Jakiemś lekarstwem sam już wstyd przemawia.
Przeto chciej spełnić prośbę tej, co raczej
Zwykła zabierać coś, niż o coś żebrać,
I świętą swoją zredukuj, zaś reszta
Niechże się składa z ludzi, odpowiednich
Twemu wiekowi, znających i siebie
I was.

LIR: Do wszystkich piekieł, wszystkich djabłów!
Osiodłać konie, zwołać tu mój poczet!
O ty, wyrodny bękarcie! Nie będę
Przeszkadzał tobie, wszakże jeszcze jedną
Posiadam córkę.

GONERYLA: Bijecie, panie, domowników moich,
A wyuzdana wasza czerń przemienia
Lepszych od siebie na sługi.

(wchodzi KSIĄŻĘ ALBANJI)

LIR: Biada tym, którzy żałują za późno.

(do księcia Albanji)

O, wy to, panie, przyszliście? To z waszą
Dzieje się wola? Mówcie-że, mój panie!...
Gotować konie! O ty, niewdzięczności,
Czarcie o sercu kamiennem, daleko
Wstrętniejsza jeszcze, niżli potwór morski,
Jeśli się jawisz w dziecku!

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI: Proszę, panie,
Bądźcież cierpliwi.

LIR: (*do Goneryli*) Sępie obrzydliwy,
Kłamiesz: mój orszak to ludzie wybrani
I najzacniejsi, szczególnie znający
Swe obowiązki i z wielce troskliwą
Uważający bacnością na honor
Swego imienia... O drobna przywaro,
Jakże ohydną ty mi się wydałaś
W onej Kordelji, ty, coś wykreśliła,
Niby kleszczami, kształty swej natury
Z ich właściwego miejsca, coś mi z serca
Wyciągła wszystką miłość, a jedynie
Żółć powiększyła! Lirze! Lirze! Lirze!

(bije się w czoło)

O, walże w bramę tę, która wpuściła
Twoją głupotę, a precz poszedł rozum!
Idźcie-że, idźcie, moi ludzie!

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Panie,
Jestem niewinny tak, jak nieświadomy,
Co was wzburzyło.

LIR: Być może, milordzie!
Słuchaj, naturo, słuchaj, ty bogini
Droga, posłuchaj! Powstrzymaj swój zamiar,
Jeśliś myślała o tem, aby płodną
Tę kreaturę uczynić, jałowość
Do łona wprowadź, wysusz jej narzędzia
Pomnożydzielskie, niech z jej krwi zepsutej
Nie wyjdzie nigdy dziecko, coby zaszczyt
Przynieść jej mogło! A musi li rodzić,
To utwórz dziecko jej z złości, niech żyje,
Aby się dla niej stać wynaturzonym
Narzędziem tortur; to jej czoło młode
Niechże pokryje zmarszczkami, z jej lica
Niech potokami łez wyźlabia bruzdy!

Za dobrodziejstwa matki i za troski
 Płaci szyderstwem i wzgardą, by czuła,
 Że mniej dotkliwem ukąszenie żmii,
 Niż posiadanie niewdzięcznego dziecka!
 Precz! Precz!

(wychodzi)

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Bogowie, których uwielbiamy!
 O co to poszło?

GONERYLA: Nie troszcz się o powód!
 Kaprysy jego niech dążą do celu,
 Który mu wytknął nierozum.

(wraca LIR)

LIR: Co? Pięćdziesięciu mych ludzi za jednym
 Oto zamachem? W dwóch godzinach!

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Panie,
 Cóż to się stało?

LIR: Powiem ci. *(do Goneryli)* Do wszystkich
 Śmierci! Zawstydzon jestem, że masz władzę,
 Ażeby moją tak wstrzymał męskością,
 Że tych gorących łez, co mi się gwałtem
 Wydobywają z ocz, ty masz być godna!
 Zaraza na cię! Niezgojone rany
 Przekleństw ojcowskich niechże się wżerają
 W całą istotę twoją! O wy stare,
 Dziecinne oczy, jeśli oplakiwać
 Chcecie raz jeszcze tę sprawę, to ja was
 Wyrwę i rzucę precz razem z słozami,
 Które lejecie — niechże zmiękną glinę!
 A więc do tego doszło: Ha! Cóż zrobić?!
 Mam drugą córkę, dla mnie, jestem pewien,
 Uprzejmą wielce i nader powolną!
 Gdy ta usłyszy o tobie, twą wilczą

Twarz paznogciami rozszarpie. Zobacysz,
 Że znów przybiore postać, którą według
 Twego mniemania straciłem na zawsze.
 Będiesz to widzieć, ja ci ręczę za to.

(wychodzą LIR, KENT i ŚWITA)

GONERYLA: Czy uważałeś, milordzie?

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI:

Nie mogę być tak stronnym, Goneryło,
 Przy całej mojej ogromnej miłości,
 Jaką mam k'tobie.

GONERYLA:

Daj mi już spokój, proszę... Hej! Oswaldzie!
 (do Błazna)

Waszeć za panem! Więcej łotr, niż błazen.

BŁAZEN: Wujaszku Lirze, wujaszku Lirze, poczekaj!
 Zabierz błazna z sobą!

*Liszka, zabrana z podwórka,
 I wyrodna taka córka
 Będą zawsze pewne sznurka —
 Gdybym miał go miast kapturka!
 Ale błazen da już nurka!*
 (wychodzi)

GONERYLA:

Ten człowiek węż miał dobry! Stu rycerzy!
 O, politycznie jest to i bezpiecznie
 Mieć stu rycerzy tak na zawołanie,
 Aby za lada mrzonką, lada szusem,
 Lada fantazją, skargą lub urazą,
 Mógł siłą poprzeć dziecinne zachcianki
 I życie nasze uczynić zależnem
 Od swojej laski. Oswaldzie! Ja wołam.

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI: Może za bardzo obawiasz się, pani.

GONERYLA: Bezpieczniej bać się, niż ufać za bardzo.
Wolę usunąć zło, gdy się go boję,
Niż się obawiać, iż mnie usunie.
Znam jego serce. O tem, co objawił,
Już napisałam siostrze; jeśli ona
Zechce go przyjąć wraz z stu rycerzami,
Gdym jej wskazała na tę niestosowność...

(wraca OSWALD)

I cóż, Oswaldzie? Czy waś napisałeś
List do mej siostry?

OSWALD: Tak jest, jasna pani!

GONERYLA:

Weź z sobą kilku ludzi, dosiądź konia,
Moją szczególną wyluszczył jej obawę
I ze swej strony takie dodaj względy,
Któreby jeszcze to poparły. Ruszaj
I wracaj prędko!

(wychodzi OSWALD)

O nie, nie, milordzie!

Ta wasza mlekiem karmiona łagodność
I ten wasz sposób — ja ich nie potępiam,
Lecz, z przeproszeniem, możnaby was raczej
O brak rozumu pomówić, niż chwalić
Tę dobrotliwość szkodliwą.

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Nie mogę
Rzec, jak głęboko wnikają twe oczy:
Pragnąc polepszyć, psujemy częstokroć
To, co jest dobre.

GONERYLA: A zatem?

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: I owszem,
Owszem; lecz skutek....

(wychodzą)

SCENA V.

Dziedzinię tamże.

(wchodzą LIR, KENT i BŁAZEN)

LIR: Jedź waść naprzód z temi listami do Glostera. Powiedz o tem mej córce nie więcej, aniżeli wiesz, a jeno tyle, co po tym liście wyniknie z jej pytania. Jeśli gorliwość waszmości spieszyć się nie będzie, ja stanę tam przed wami.

KENT: Nie pójdę spać, dopóki nie doręcę waszego listu.

(wychodzi).

BŁAZEN: Gdyby mózg człowieka znajdował się w pięcie, czy nie naraziłbyś się na odzieżbliznę?

LIR: Tak, chłopaczku.

BŁAZEN: Dlatego proszę, bądź wesół; rozum twój nie powinien nigdy chodzić w papuciach.

LIR: Ha! ha! ha!

BŁAZEN: Zważaj: druga twoja córka obejdzie się z tobą grzecznie; bo choć ona podobna do tej, jak leśne jabłko do ogrodowego, to przecież mogę powiedzieć, co powiadam.

LIR: Co możesz powiedzieć, chłopaczku?

BŁAZEN: W smaku będzie tak podobna do niej, jak jabłko leśne do jabłka leśnego. Możesz mi powiedzieć, dlaczego nos sterczy w środku twarzy?

LIR: Nie.

BŁAZEN: Ażeby mieć oczy po obu stronach nosa i aby człowiek mógł dojrzeć to, czego wywąchać nie może.

LIR: Skrzywdziłem ją —

BŁAZEN: Możesz powiedzieć, dlaczego ostrzyga urabia sobie skorupę?

LIR: Nie.

BŁAZEN: Ani ja również, ale mogę powiedzieć, naco ślimak ma dom.

LIR: Naco?

BŁAZEN: Nato, aby w niego włożył głowę; nie nato, iżby go oddawał córkom i rogi swe zostawił bez okrywy.

LIR: Zapomnę o swojej naturze. — Tak dobry ojciec! — Konie moje gotowe?

BŁAZEN: Osły twe poszły za niemi. Powód, dlaczego w onych siedmiu gwiazdach niema ich więcej, jak siedem, to łatwy jest powód.

LIR: Bo niema ich ośm.

BŁAZEN: Tak, w istocie, dobry byłby z ciebie błazen.

LIR: Trzeba odebrać gwałtem! Potwór niewdzięczny!

BŁAZEN: Gdybyś był moim błaznem, wujaszku, dostałbyś wały, żeś się zestarzał przed czasem.

LIR: Jakto?

BŁAZEN: Nie powinieneś się być zestarzeć, dopókiś nie zmądrzał.

LIR: Nie dajcie-że mi oszaleć, niebiosa!
Chcę być przy zmysłach! O, nie chcę oszaleć!

(wchodzi SZLACHCIC)

Cóż tam? Czy konie gotowe?

SZLACHCIC: Gotowe, miłościwy panie.

LIR: Chodź-że, chłopaczku.

BŁAZEN: Dziewica, ze mnie szydząca tak zdradnie,
Być nią przestanie, gdy — coś z niej odpadnie.

(wychodzą)

AKT DRUGI.

SCENA I.

Dziedziniec w zamku hrabiego Glostera.
(ze stron przeciwnych wchodzi EDMUND i KURAN).

EDMUND: Witam cię, Kuranie.

KURAN: I ja witam waszmość. Byłem u twego ojca i dałem mu znać, że ksiązę Kornwalji i pani jego, Regana, przybędą tutaj dziś w nocy.

EDMUND: Cóż się stało?

KURAN: Ano, ja nie wiem... Słyszałeś waszmość nowiny — mam na myśli poszepty, ponieważ dotychczas mówi się o tych sprawach na ucho.

EDMUND: Ja nic nie wiem; proszę waści, cóżto takiego?

KURAN: Słyszeliście, panie, o prawdopodobieństwie wojny pomiędzy książętami Kornwalji i Albanji?

EDMUND: Ani słowa.

KURAN: Więc zczasem usłyszycie o tem. Żegnam was, panie.

(wychodzi)

EDMUND: Ksiązę tu będzie tej nocy? To dobrze! To jak najlepiej! Samo się tu gwałtem Wplata w mą sprawę. Ojciec mój ustawił Straże, ażeby pochwyciono brata,

A ja zaś muszę wypełnić zadanie
Lichej natury. Do pracy, Pospiechu,
I ty, Fortuno! Bracie, zejdź na słówko!

(wchodzi EDGAR)

Ojciec mój czujny: uciekaj stąd waszmość!
Dostał wiadomość o tem, gdzie się kryjesz.

Noc ta korzystną daje ci sposobność:

Czyś co nie mówił na księcia Kornwalji?

On tu przybywa teraz, nocą, nagle,

A z nim Regana. Nic nie powiedzialesz

O jego sporze z księżciem Albanji?

Przypomnij sobie.

EDGAR: Pewnikiem, ni słowa.

EDMUND: Słyszę, że ojciec nadchodzi — przepraszam:

Pozornie miecza dobędę na ciebie!

Dobytaj! Udaj, że się bronisz... Teraz

Co tchu uciekaj... Poddaj-że się! Uprzedź

Ojca!... Hej! światła!... Uciekaj stąd, bracie!...

Pochodni!... Tutaj pochodni!... Tak, żegnaj...

(wychodzi EDGAR)

Skoro cokolwiek krwi sobie utoczę.

(rani się w ramię)

Utwierdzą przez to wiarę w tem gorętszą

Moją żarliwość. Widziałem pijaków,

Robiących żartem więcej, niż to... Ojczel!

Ojczel!... Stój! Stój-że! Nie znajdę pomocy?

(wchodzi GLOSTER z SŁUŻBĄ z pochodniami)

GLOSTER. Jakże, Edmundzie? Gdzież ten łotr?

EDMUND:

Przed chwilą

Stał tu w ciemności z wyciągniętym mieczem,

Ohydne czary mruczając, zaklinając

Księżyc, ażeby go wspierał.

GLOSTER:

A teraz?

EDMUND: Patrz, miłościwy panie, krew mi cieknie.

GLOSTER: Ale gdzież łotr ten, Edmundzie?

EDMUND: Zbiegł, panie.

Gdy w żaden sposób — —

GLOSTER: Gonić go! Hej! Gonić!

Co w żaden sposób?

EDMUND: Nie mógł mnie namówić

Do odebrania życia waszej cześci.

Gdym mu powiedział, że bogowie zemsty

Wszystkie pioruny swoje obracają

Na ojcobójców i jakie rozliczne

I silne węzły łączą dziecko z ojcem —

Słowem, gdy spostrzegł, miłościwy panie,

Z jaką odrazą odrzuciłem jego

Wyrodny zamiar, w okrutnym rozpędzie

Z przygotowanym natarł wówczas mieczem

Na moje ciało bezbronne i zranił

W ramię; lecz widząc, jak te oto może

Najlepsze władze, zagrzone słusnością

Walki, zerwały się przeciwko niemu,

Albo też może przerażony krzykiem,

Który podniosłem, jał co tchu uciekać.

GLOSTER: Chociażby uciekł, nie wiem, jak daleko,

W kraju tym przecież nie ujdzie pojmania,

A, pochwycony, i kary... Szlachetny

Książę, mój godny władca i opiekun,

Będzie tu w nocy. Z jego przyzwoleniem

Ogłoszę wszystkim, że kto mi dostawi

Tego mordercę i tchórza, ten moją

Zyska podziękę, a ktoby go ukrył,

Nie ujdzie śmierci.

EDMUND: Gdym go odwodził od jego zamysłu,

A zobaczywszy, że uparł się przy tem,

Gdy mu surowem zagroziłem słowem,

Że ja go wydam, on mi tak odrzeczę:

„Bękarci chłystku! Czy myślisz, że jeśli
Przeciwko tobie stanę, słowa twoje
Zdobędą wiarę w prawdomówność, w cnotę,
W jakową zacność? Nie! Gdy ja zaprzeczę —
A to uczynię, chociażbyś przedstawił
Nawet me pismo — wszystko się obróci
Przeciwko tobie, jako twój to wymysł,
Spisek i twoje ohydne praktyki,
Chyba że światbyś wystrychnął na dudka,
Iżby nie uznał korzyści z mej śmierci
I potężnego, niezbitego bodźca
W dążeniu do niej.

GLOSTER: Łotr ten zatwardziały!
Chciałby się wyprzec listu? Niech go nie znam!

(odgłos trąb)

To surmy księcia! Poco się tu jawi,
Ja tego nie wiem. Zamknę wszystkie porty,
Nie wymknie mi się łotr ten! Książę musi
Zezwolić na to; rozkażę też jego
Na wszystkie strony rozesłać rysopis,
Aby wiedziało o nim całe państwo,
Zaś co do dzierżaw moich, ty mój prawy,
Szlachetny synu, to znajdę sposoby,
Byś ty je posiadał.

(wchodzi) KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI, REGANA
i ŚWITA)

KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI:
I cóż, mój zacny przyjacielu? Ledwie
Przybyłem tutaj — a mogę powiedzieć,
Że to się stało w tej chwili — przedziwne
Słyszałem wieści.

REGANA: Jeżeli to prawda,
Niedostateczną jest tu wszelka pomsta,

Coby dosięgnąć mogła winowajcę.
Więc cóż się stało, milordzie?

GLOSTER: O pani,
Me serce stare złamane, złamane!

REGANA: Co? Mego ojca chrzestny syn na wasze
Nastawał życie? On, któremu imię
Nadał mój ojciec? Wasz Edgar?

GLOSTER: O pani,
O miłościwa pani! Wstyd radby to ukryć!

REGANA: Nie towarzyszył on się z wyuzdaną
Zgrają rycerzy, którzy otaczają
Mojego ojca?

GLOSTER: Nie wiem tego, pani!
To zbyt jest podle, o, to zbyt jest podle!

EDMUND: Tak, on należał do ich towarzystwa.

REGANA: Niedziwno zatem, że skłonny do złego:
Oni go pchali do zamordowania
Starego człeka, aby móc roztrwonić
Jego majątek. Właśnie dziś wieczorem
Dostałam o tem bliższe wiadomości
Od mojej siostry, a z taką przestrogą,
Że jeśli zechce przybyć do mojego
Domu w gościnę, ja tam nie zostanę.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI:
Ni ja, zapewniam cię, Regano. Słyszę
Mości Edmundzie, żeś wobec rodzica
Iście synowski spełnił obowiązek.

EDMUND: To była moja powinność, milordzie.

GLOSTER: On jego podstęp odkrył i otrzymał
Tę oto ranę, gdy go chciał przychwycić.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI:
Czy go się ściga?

GLOSTER: Tak jest, dobry panie.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI:

Jeśli go schwyca, nie będzie obawy,
By komukolwiek mógł wyrządzić krzywdę.
Poleć-że władzy mej, co tylko pragniesz.
Zaś co do waści, Edmundzie, którego
I posłuszeństwo i cnota tej chwili
Tak zalecają się wielce, ty odtąd
Będiesz już naszym: potrzebni są dla nas
Ludzie o takiej głębokiej wierności —
My za pierwszego uważamy ciebie.

EDMUND: Wiernie wam będę, miłościwy panie,
Służył na wszelkie sposoby.

GLOSTER: Dziękuję
Waszej miłości za niego.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Nie wiecie,
Pocośmy do was przybyli w gościnę —

REGANA: W niewczesną porę, w tę noc ciemnooką!
Przyczyny, zacny Glosterze, są ważne,
Potrzebujemy tutaj waszej rady:
Ojciec nasz pisał, tak samo i siostra,
O pewnych naszych nieporozumieniach
Na które, myślę, będzie najstosowniej
Dać im odpowiedź poza naszym domem —
Dwóch posłów czeka tu na rozstrzygnięcie.
Uspokój serce, stary, dobry druhu,
I daj niezbędną radę w naszej sprawie,
Którą natychmiast załatwić potrzeba.

GLOSTER: Służę ci, pani. Wasze łaskawości
Mile widziane są u mnie.

(wychodzą)

SCENA II.

Przed zamkiem Glostera.

(wchodzą z stron przeciwnych KENT i OSWALD)

OSWALD: Dzieńdobry, przyjacielu: jesteś z tego domu?

KENT: Tak.

OSWALD: Gdzie możemy umieścić konie?

KENT: W błocie.

OSWALD: Proszę cię, powiedz, jeśli mnie kochasz.

KENT: Ja cię nie kocham.

OSWALD: Jeśli tak, to mi bez ciebie nie bieda.

KENT: Byłaby ci bieda, gdybym cię tak spotkał w opłociu, w Psiej Wólce.

OSWALD: Dlaczego tak się obchodzisz ze mną? Ja ciebie nie znam.

KENT: Człęczyno, ja znam ciebie!

OSWALD: Coś więc ja za jeden, tak mnie znając?

KENT: Szelma, łajdak, wylizywacz cudzych talerzy, nikczemny, nadęty, pusty łapserdak; trzy kubraki na wierzchu, a w kieszeni dziura; brudas, chłystek w grubych pończochach, gagatek, pieczeniarsz, skurwysyn, mizdrzuś, modniś, drań wyszczekany; parobek, siadujący na węzélku, stręczyciel z wielkiej usłużności; nic więcej, jak tylko zlepek szubrawca, żebraka, tchórza, rajfura; sukinsyn, spadkobierca pokurcza — zbiję cię, że będziesz wył i skomlał, jeżeli z tytułów tych zechcesz choć jedną ująć sylabę.

OSWALD: Cóż to za potwór z waszmości, ażeby tak lżyć kogo, co ani tobie nie jest znany, ani zna ciebie?

KENT: Cóż to za cham o miedzianem czole z waszeci, ażeby się wypierać, że znasz mnie. Toć dopiero dwa dni temu, jakem ci nadeptał na pięty i prał cię w obe-

čności króla? Dobywaj! Dobywaj, drabie, bo chociaż to noc to przecież księżyc świeci — zmaceruję cię przy świetle księżycy! Dobywaj, ty skurwysynie, ty golibrodz plugawy!

(dobywa szpady)

OSWALD: Odejdź! Ja nie mam z tobą nic do czynienia.

KENT: Dobywaj, nędzarzu! Przychodzisz wasan z listami na króla; trzymasz stronę tej lali—Próżności przeciw królewskiemu majestatowi jej ojca. Dobywaj, łotrze, albo taką z łydek twoich siekaną sporządzą pieczeń...! Dobywaj, ty szujo! Stawaj!

OSWALD: Ratunku! Hej! Morderca! Ratunku!

KENT: Bij się, pacholku! Stawaj, łotrze, stawaj! Ty wymuskany sługusie, ty! Bij się!

(bije go)

OSWALD: Ratunku! Hej! Morderca! Morderca!

(wchodzi EDMUND)

EDMUND: Cóż to takiego? Co się dzieje?

KENT: Z waszmością, paniczu, jeśli łaska! Chodź tu, pokropię cię, mospanie! Chodź tu, młodzianku!

(wchodzi GLOSTER)

GLOSTER: Oreżę?! Bronie?! Cóż się dzieje tutaj?
(wchodzą KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI, REGANA i SŁUŻBA)

KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI: Stójcie! Na życie to wasze!

Umrze, kto bić się znów zacznie! I cóż to Stało się tutaj?

REGANA: To posłańcy mojej Siostry i króla.

KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI: Co za spór to? Mówcie!

OSWALD: Zaledwie dybam, miłościwy panie.

KENT: Nie dziwota, tak waspan okazałeś swe męstwo. Ty szubrawino tchórzliwy, natura wypiera się ciebie. Krawiec cię sporządził.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Dowcipniś! Krawiec sporządza człowieka?

KENT: Tak, panie, krawiec; kamieniarz albo malarz takby go nie spartaczył, choćby tylko dwie terminował godziny.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Gadajcie teraz, skąd się wziął ten spór wasz?

OSWALD: Ten stary zbójca, którego życie oszczędzał przez wzgląd na jego siwą brodę —

KENT: Ty skurwysynie, ty zero, ty niepotrzebna głosko! Jeżeli wasza książęca mość pozwoli, to ja tego nieprzesianego łotra na mialkie utnę wapno i posmaruję niemścianę wychodka. — Oszczędzałeś siwą moją brodę, ty pliszko?

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Cicho bądź, asan! Nie znasz, bydlaku żadnej rewerencji.

KENT: O tak! Lecz, panie, gniew ma swój przywilej.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Czemu się gniewasz?

KENT: Że taki pachół, co nie ma honoru, Miecz ma przy sobie! Takie uśmiechnięte Łotry, jak szczury, przegryzają nieraz Węzły szlachetne, zbyt silne, ażeby Móc je rozwiązać; schlebiają wszelakim Złym namiętnościom, które się buntują W wnętrzu ich panów; oliwę na ogień Leją, a śniegu dodają do chłodu Ich usposobień, przeczą, twierdzą, dzioby Swe zimorodcze zwracają w kierunku Wszelkiego wiatru za tchnieniem swych panów, Nic nie umiając, tylko iść za nogą, Jak psy. Zaraza na epileptyczny

Pysk twój! Drwiesz z słów mych, jak gdybym był błaznem?
Gdybym, gąsiorze, miał cię na dolinie
Sarumskiej, wnetbyś pogażał w Kamlocie.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Czyś ty oszalał, starcze?

GLOSTER: Jak to się stało; powiedz!

KENT: Niema przeciwieństw bardziej sobie wrogich,
Niż ja i łotr ten.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Czemu zwiesz go łotrem?
Cóż ci zawinił?

KENT: Twarz mi się nie widzi.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI:

Może i moja nie, i jej, i jego?

KENT: Otwartość, panie, jest mem powołaniem;
Lepsze-m oblicza widział w mojem życiu,
Niż te na karkach tych, których tej chwili
Widzę przed sobą.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Jest to jeden z drabów,
Co, pochwaleni raz za grubijaństwo,
Na czelną szorstkość siłą się i obcy
Swojej naturze przywdziewają kostjum.
Ten ci nie umie schlebiać, ten znów człowiek
Jasny i prosty — musi mówić prawdę,
Jak to uważasz, tak czy tak — on szczery.
Znam takich szujów, którzy w swej szczerości
Chowają więcej podstępów i więcej
Podłych zamiarów, niżeli dwudziestu
Pokornuteńkich, głupiutkich sługusów,
Wypełniających skrzętnie swą powinność.

KENT: W istocie, panie, z całym przekonaniem,
Z najszczerzą prawdą, tak — za pozwoleniem
Waszego, panie, wielkiego aspektu,
Którego wpływ podobien do korony
Promienistego ognia, błyszczącego
Na czole Feba —

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Cóż ty przez to myślisz?

KENT: Że chcę wypaść z stylu, który tak bardzo ganiecie. Wiem, panie, że nie jestem pochlebcą; kto was szczerem oszukuje słowy, ten szczerem jest łotrem, jakim — co do mnie — być nie chcę, chociażbym waszą zyskał nielaskę, gdybyście tego żądali ode mnie.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Jakaż mu krzywdę wyrządzili?

OSWALD: Żadnej.

Królowi, jego panu, temi dniami
 Podobało się z opacznych powodów
 Rzucić się na mnie, wówczas on, schlebiając
 Jego gniewowi, powalił mnie ztyłu,
 Powalonego zelżył i znieważył,
 I taką przybrał minę bohatera,
 Że aż królewską uzyskał pochwałę
 Za napadnięcie i zgnębienie człeka,
 Co był pokorny sam z siebie; zachwycon
 Swym strasznym czynem, znowu się tu przypiął
 Do mnie.

KENT: Dla takich łajdaków i tchórzów!
 Żaden z nich błaznem nie jest, lecz sam Ajaks.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI:

Przynieście dyby! Ty stary, uparty
 Lotrze! Czcigodny samochwalco!

KENT: Panie!

Jam za wiekowy, ażeby się uczyć.
 Nie każ więc, panie, przynosić mi dybów.
 Królowi służę, jestem tu przysłany
 Z jego zleceniem; za mało szacunku,
 A zaś za dużo masz lekceważenia
 Dla łaskawości i osoby mego
 Pana, jeżeli chcesz osadzić w dybach
 Jego posłańca.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI:

Przynieść tu dyby! Na życie i honor,
On w nich posiedzi do południa!

REGANA: Nie do południa, do nocy, milordzie,
I przez noc całą.

KENT: Miłościwa pani,
Gdybym był nawet psem twojego ojca,
Tak mnie traktować nie powinnaś.

REGANA: Będę,
Ponieważ jesteś wać jego pacholkiem.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI:

Drab to tej samej jest barwy, o jakiej
Siostra nam pisze. Dalej! Przynieść dyby!
(przynoszą dyby)

GLOSTER: Niech się łaskawość wasza da ubłagać,
Ażeby tego nie czynić. Niemalą
Jest jego wina, dobry król, pan jego,
Skarci go za to; haniebna to kara,
Którą zamysłasz, karzą nią najgorszych,
Najnikczemniejszych łotrów za złodziejstwa
I za przestępstwa co najpospolitsze.
Król weźmie za złe, że lichy jest cenion
W swoim posłańcu, którego się więzi.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Ja odpowiadam za to.

REGANA: Moja siostra
Może uważać to za coś gorszego,
Że dworzanina jej tak napadnięto
I znieważono, gdy spełniał jej rozkaz.
Skujcie mu nogi.

(Kenta zakowują w dyby)
Chodźmy, złoty panie.

(wychodzą wszyscy prócz Glostera i Kenta)

GLOSTER: Żal mi cię, druhu. Tak się podobało
Księżciu, którego wola — świat wie o tem. —

Żadnych nie znosi więzów ni hamulców.
Pragnę się wstawić za tobą.

KENT: Nie, panie!
Proszę, nie czyńcie tego! Jakąś chwilę
Prześpię, a resztę przegwizdam. Fortuna
Zacnego człeka może czasem ugrząść.
Dobrego dnia wam życzę.

GLOSTER: Księżę postąpił nagannie; to będzie
Wzięte mu za złe.

(wychodzi)

KENT: Że też się na tobie,
Zacny mój królu, sprawdziło przysłowie:
Z deszczu pod rynnę!
Zbliź się, latarnio ziemskiego padolu,
Bym mógł przy twoich ukośnych promieniach
Przeczytać list ten. Cuda spotykają
Tylko niedolę! Wiem, to od Kordelji,
Która, na szczęście, ma już wiadomości
O moim losie przyćmionym i znajdzie
Czas, by poszukać środków na opaczny
Stan mój: zmęczone nadmiernem czuwaniem,
Ciężkie me oko, korzystaj-że z chwili
I na ten nocleg sromotny
Nie patrz!... Dobranoc, fortuno! Raz jeszcze
Uśmiechnij mi się i odwróć swe koło

(zasypia)

SCENA III.

P u s t k o w i e.

(wchodzi EDGAR)

EDGAR: Me wywołanie słyszałem,
Atoli dzięki spróchniałej, na szczęście,

Wierzbie umknąłem. Ni portu wolnego
Ani też miejsca, gdzieby straż i czujność
Przenadzwyczajna nie czyhały na to,
By mnie pochwyć! Zamierzam się bronić,
Dopóki będę mógł uciekać; myślę
Najlichszą przybrać, najnędniejszą postać,
W jakiej ubóstwo z ujmą dla człowieka
Czyni go bliskim zwierzęciu. Oblicze
Powalam błotem, przepaszę swe lędźwie,
Włos szochram w kudły i, świecąc nagością,
Urągać będę wiatrom i dopustom
Niebios. Przykładu i wzoru dostarczy
Kraj mi na onych żebrakach z Bedlamu,
Co, przeraźliwie wrzeszcząc, w swe wychudłe,
Nagie, zdrętwiałe ramiona wbijają
Szpilki i drzazgi, gwoździe i gałęzie
Rozmarynowe, aby po futorach,
Po wsiach zapadłych, po strągach i młynach,
Czy to proszący, czy się zachowując,
Jak opętani, tym strasznym widokiem
Wymuszać litość. „O ty, biedny Tomku!”
Niczem dziś Edgar przy takim przydomku!
(wychodzi)

SCENA IV.

Przed zamkiem Glostera.

(KENT *w dybach* — *wchodzi* LIR, BŁAZEN i JEDEN
ZE SZLACHTY)

LIR: Dziwna, wyjechać tak z domu, mojego
Nie odprawivszy posłańca.

SZLACHCIC: Słyszałem,
I że noc przedtem nie było zamiaru
Tego wyjazdu.

KENT: Cześć, szlachetny władco!

LIR: Ha!

Dla krotchwili ta hańba?

KENT: Nie, panie.

BŁAZEN: Ha! ha! Srogie on nosi podwiązki. Konie wiąże się za głowę, psy i niedźwiedzie za kark, małpy za boki, a ludzi za nogi; jeżeli człowiek zbyt dokazuje nogami, to musi drewniane nosić pończochy.

LIR: Któż to o twoim tak zapomniał stanie,
Że cię osadził tutaj?

KENT: Obydwoje,
Syn twój i córka.

LIR: Nie!

KENT: Tak!

LIR: Nie, powiadam!

KENT: A ja powiadam: tak!

LIR: Nie! Nie! Nie oni!

KENT: Tak, oni!

LIR: Nie! Przysięgam na Jowisza!

KENT: Tak, na Junonę przysięgam.

LIR: Nie, oni

Uczynić tego nie śmieliby nigdy,
Nie mogli tego uczynić, nie chcieli!
Wszak to jest gorsze, niż mord. Szacunkowi
Taką okrutną wyrządzić zniewagę!
Opowiedz prędko, ale szczegółowo,
Czem mogłeś sobie zasłużyć, a oni
Jak mogli obejść się z tobą w ten sposób,
Jeśli przybyłeś tu od nas?

KENT: Milordzie,

Kiedym doręczył waszej wysokości
Listy w ich domu, to zanim się jeszcze
Podniosłem z miejsca, gdzie z uszanowaniem
Kłęczał, posłaniec nadbiegł zabłocony

I, ledwie dysząc z wielkiego pośpiechu,
Wykrztusił z siebie słowa pozdrowienia
Od Goneryli, swej pani, i mimo,
Żem ja był pierwszy, oddał im jej listy,
Które natychmiast przeczytawszy, w związku
Z ich treścią służbę co tchu zgromadzili,
Dosiedli koni, kazali mi jechać
W trop poza sobą i czekać, aż raczą
Dać mi odpowiedź, ciągle mnie też zimnym
Mierzyli wzrokiem. Tutaj, z tym się drugim
Spotkawszy posłem, którego przyjęcie,
Jak to spostrzegłem, tak zatrulo moje —
A był to właśnie drab ów, co niedawno
Tak się bezczelnie śmiał narazić waszej
Przedostojności — więcej mając w sobie
Męza, niżeli rozumu, dobyłem
Szpady. On cały dom poruszył głośnym,
Tchórzowskim krzykiem. Występek ten syn wasz
I wasza córka uznali być godnym
Takiej sromoty, jaką tutaj znoszę.

BŁAZEN: Zima jeszcze nie przeszła, skoro dzikie gęsi
tędy ciągną.

*Ojciec, noszący lachmany,
Z ślepotą dzieci się spotka,
Ale gdy wór ma wypchany,
Wita go miłość ich słodka.
Fortuna, ta ladacznica,
Od biednych odwraca swe lica.*

Ale przy tem wszystkiem otrzymasz od córek tyle karbo-
wańców, ile ich będziesz mógł naliczyć w ciągu roku.

LIR: Jak mi ta kolka prze się aż do serca!
Hysterica passio, — na dół z tobą, bólu,
Tam jest twój żywioł! A gdzież ona córka?

KENT: Z hrabią, w komnacie, miłościwy panie.

LIR: Nie chodźcie za mną, pozostańcie tutaj.

(wychodzi)

SZLACHCIC: Nie uczyniłeś waszmość nic ponad to, o czems tu mówił?

KENT: Nic. Jakże się stało,
Że król z tak drobnym przybywa tu pocztem?

BŁAZEN: Gdyby cię osadzono w dyby za takie pytanie, zasłużyłbyś na to.

KENT: Dlaczego, błaznie?

BŁAZEN: Poślemy cię na naukę do mrówki, abyś się dowiedział, że w zimie roboty niema. Kto idzie za nosem, tego prowadzą oczy, z wyjątkiem ślepców. A pomiędzy dwudziestoma nosami niema ani jednego, któryby nie poczuł kogoś, kto śmierdzi. Nie czepiaj się wielkiego koła, gdy się toczy z góry, bo popędzisz z niem razem i kark sobie skrećisz; jeżeli jednak wielkie koło pnie się pod górę, to niechże ciebie ciągnie za sobą. Jeżeli jaki mądry człowiek lepszą da ci radę, to oddaj mi moją, niech idą za nią tylko kpy, jeżeli błazen ją daje.

Aspan, co myśląc li o chlebie,

Dla oka jedynie służy,

Za lada deszczem rzuci ciebie,

Zostawi cię pośród burzy.

Lecz błazen wytrwa w swej przyjaźni,

A mędrzec niechże uchodzi:

Kiep ten, co czmycha, on się błazni,

Błazen się w kpa nie wyrodzi.

KENT: Gdzie się tego nauczyłeś, błaznie?

BŁAZEN: Nie w dybach, błaznie.

(wraca LIR z GLOSTEREM)

LIR: Nie chcą wyjść do mnie? Słabi są, znużeni?
Podróżowali całą noc? Wykręty!

Objawy buntu i zerwania! Przynieś
Lepszą odpowiedź!

GLOSTER: O drogi mój panie,
Znany wam księcia charakter ognisty,
Wiecie, jak twardy ma i nieugięty
Sposób myślenia.

LIR: Pomsta na niego, śmierć, dzuma, zniszczenie!
Co mi „ognisty“? Co dla mnie „charakter“?
Muszę, Glosterze, Glosterze, pomówić
Z księciem Kornwalji i z jego niewiastą!

GLOSTER: Tak, dobry panie, jam go powiadomił.

LIR: Powiadomiłeś? Rozumiesz mnie, człecze?

GLOSTER: Tak, dobry panie.

LIR: Król chce pomówić z Kornwalją, z swą córką
Chce drogi ojciec mówić, żąda usług:
Powiadomiłeś ich o tem?... O krwi ma!
O mój oddechu!... Ognisty? Ognisty
Książę?... Powiedz-że ognistemu księciu —
Lecz nie, nie teraz! Być może, jest chory,
A przedsię niemoc zaniedbywać zwykła
Te obowiązki, które zdrowie nasze
Wypełniać winno; nie jesteśmy sobą,
Jeśli natura w swoim pogniębieniu
Każe duchowi cierpieć razem z ciałem.
Pragnę się wstrzymać, może w popędliwość
Wpadłem zbytęczną i słabe i chore
Usposobienie wziąłem za postępek
Czleka zdrowego... Śmierć na mnie!

(*sposzrzeglwszy Kenta*) A zaco

Ten siedzi tutaj? Przekonuje mnie to,
Że wyjazd księcia i jej niczem innym,
Tylko podstępem. Uwolnić mi służę!
Idź, powiedz księciu i jego niewieście,
Że pragnę z nimi pomówić natychmiast!

Każ im tu przybyć, by mnie wysłuchali.
Albo tak będę bębnił w drzwi ich izby,
Że sen zabębnię im na śmierć...

GLOSTER: Pragnąłbym zgody między wami.
(wychodzi)

LIR: Serce, me serce wrzące! Lecz siedź cicho!

BŁAZEN: Krzycz do niego, jak kucharzyca do węgorki, kiedy je żywcem włożyła w pasztet, kijem waliła je po łbie i wrzeszczała: Siedźcie cicho, figlarze! Siedźcie cicho! Jej brat to z czystej dobroci dla konia maśłem posmarował mu siano.

(wchodzi: KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI, REGANA, GLOSTER i SŁUŻBA)

LIR: Dzieńdobry wam obojgu.

KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI: Cześć wam, panie.
(uwalniając Kenta)

REGANA: Miło mi waszą oglądać wysokość.

LIR: Sądzę, Regano, że tak jest; znam powód,
Czemu tak sądzę; gdyby tak nie było,
To wziąłbym rozwód z grobem twojej matki,
Cudzołożnicę bowiemby pokrywał.
(do Kenta)

A waszmość wolny? Ale o tem potem.
Luba Regano, siostra twa ladaco:
Ząb niewdzięczności wraziła tu we mnie,
O ma Regano, jako sęp, zaledwie
Wydołam mówić — ani nie uwierzysz,
Z jakim wyrodnem uczuciem — Regano!

REGANA: Proszę was, panie, miejcie-że cierpliwość.
Żywię nadzieję, że wy mniej umiecie
Cenić jej wartość, niżli ona skąpic
Z swym obowiązkiem.

LIR: Jakże to rozumiesz?

REGANA: Nie mogę myśleć, iżby moja siostra
Miała uchybić, chociażby w najmniejszym,
Swej powinności; jeśli czasem, panie,
Powstrzymywała swawolę twej służby,
To z takich przyczyn i dla takich celów,
Że to ją z wszelkich oczyszcza zarzutów.

LIR: Przekleństwo na nią!

REGANA: Panie, wyście stary;
Natura wasza stoi już u kresu
Swojej granicy; winien was prowadzić,
Winien kierować wami przezorniejszy
Umysł, co lepiej potrafi się w waszym
Rozeznać stanie, niż wy sami. Przeto
Proszę was wrócić znów do naszej siostry
I rzec jej, panie, żeście ją skrzywdzili.

LIR: O przebaczenie ją błagać? Czyś o tem
Choć pomyślała, zali to przystoi
Powadze domu: „Wyznaję ci, droga
Córko, żem stary; starość do niczego;
Błagam na klęczkach, abyś mi raczyła
Dać łóżko, odzież i strawę.“

REGANA: Dość tego,
Dobry mój panie! Niewczesne to sztuczki!
Wracaj do siostry!

LIR: Przenigdy, Regano!
Toć o połowę zmniejszyła mą świętę;
Patrzała na mnie zukosa, językiem
Kasała moje to serce, jak żmija!
Oby wszelakie pomsty niebios spadły
Na jej niewdzięczną głowę! Wy, dotkliwe
Wiatry, porażcie te jej członki młode!

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Wstydź się! wstydź, panie!

LIR: Chyże błyskawice,
Wlejcie w wzgardliwe jej oczy swe ognie

Oślepiające! Zażądacie jej piękność
 Wy, miazmaty, które z błot wszechmocne
 Wyciąga słońce, upadnijcie na nią,
 Zniszczcie jej pychę!

REGANA: O święci bogowie!
 Tego samego i mnie życzyć będziesz,
 Skoro wybuchniesz popędliwym gniewem.

LIR: O nie, Regano, nigdy moja klątwa
 Nie dotknie ciebie: tkliwa twa natura
 Nigdy szorstkości się nie podda: ogniem
 Zieją jej oczy, twoje zagrzewają,
 Ale nie palą. Tybyś mi żałować
 Przecież nie mogła moich przyjemności,
 Zniszczyć mi służby i słów miotać hardych,
 Skąpić mi strawy i nadomiar jeszcze
 Rygłem zastawiać się przed mem przybyciem!
 Ty obowiązki natury znasz lepiej,
 To przywiązanie dziecka, tę powinna
 Grzeczność i ona wdzięczność mi nalezną,
 Nie zapomniałaś o połowie państwa,
 Którą jam ciebie obdarzył.

REGANA: Do rzeczy,
 Łaskawy panie!

LIR: Któż to wsadził w dyby
 Mego człowieka?

(odgłos trąb)

KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI: Czyje to są trąby?

REGANA: Wiem: mojej siostry, potwierdzają list jej,
 Że ma niebawem być tu.

(wchodzi OSWALD)
 Przyjechała

Pani waszmości?

LIR: To jest ten pacholek,
 Którego łatwo zborgowana pycha

W zmiennej się łasce rozsiadła tej, której
Służy. Precz, łotrze, z mych oczu!

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Co mówi
Wasza łaskawość?

LIR: Któż osadził w dyby
Mojego sługę? Mam jedną nadzieję,
Żeś ty, Regano, nie wiedziała o tem.
Kto tu nadchodzi? O nieba!

(*jawi się GONERYLA*)

Jeżeli

Kochanie starców, jeśli posłuszeństwo
Uznaje wasza dobrotliwa władza,
Jeżeli same jesteście staremi,
Uczyńcie z tego swą sprawę, ześlijcie
Znak, że bierzecie mą stronę.

(*do Goneryli*)

Azali

Ty się nie wstydzisz patrzeć na tę brodę?
I ty, Regano, podajesz jej rękę?

GONERYLA: Czemu nie rękę? Cóż zrobiłam złego?
Nie wszystko bywa złem, co nierozsądek
Za złe uważa i co zdzieciniały
Umysł nazywa złem.

LIR: O piersi moje!
Nazbyt wy mocne jesteście! Możecie
Jeszcze wytrzymać? Dlaczego mój sługa
Dostał się w dyby?

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Jam mu je nałożył,
Lecz, panie, jego postęпки na mniejszą
Nie zasłużyły nagrodę.

LIR: Co, waćpan?
Waćpan to zrobił?

REGANA: Proszę was, mój ojczy,
Jesteście słaby, więc nie udawajcie

Czego innego. Jeżeli wrócić
Do mojej siostry, by zamieszkać u niej
Aż do upływu waszego miesiąca,
Połowę świty swojej rozpuściwszy,
Zjawcie się potem u mnie! Ja nie jestem
Dzisiaj u siebie, nie mam też zapasów,
Których wymaga wasze utrzymanie!

LIR: Powracać do niej? Rozpuścić pięćdziesiąt
Ludzi? Nie, raczej wolę się odprzysiąc
Wszelkiego dachu, wolę się wystawić
Na nieprzyjemne działanie powietrza,
Być towarzyszem wilków i puhaczy,
Kazać się szarpać nędzy! — Wracać do niej!?
Francuz gorącej krwi, co mą najmłodszą
Wziął bez posagu — tak, z równą łatwością
Mógłbym się zdobyć na to, aby klęknąć
U jego tronu i na wzór pacholka
Żebrać o jurgielt i nędzny w ten sposób
Prowadzić żywot. Wrócić do niej? Raczej
Każ mi być sługą i jucznem bydlęciem
Tego pacholka.

(wskazuje na Oswalda)

GONERYLA: O panie,
Jak wam się widzi.

LIR: Proszę cię, ma córko,
Nie doprowadzaj mnie do szału! Nie chcę
Naprzykrzać ci się, me dziecię! Bądź' zdrowa!
Już się nie ujrzym, nie spotkamy z sobą:
Lecz tyś mem ciałem, moją krwią, mą córką,
Albo też raczej chorobą w mem ciele,
Którą zwać muszę swoją; tyś mym wrzodem,
Zarazkiem dżumy, nabrzmiałą bolączką
Z mej krwi zepsutej. Ale ja nie będę
Złorzeczył tobie, niech przyjdzie, gdy zechce,

Uczucie wstydu, ja go nie przyzywam,
Nie proszę władcy gromów, by uderzył,
Ani nie myślę obgadywać ciebie
Przed onym sędzią w górze, przed Jowiszem!
Jeżeli możesz, popraw się, masz k'temu
Dobłą sposobność; ja będę cierpliwy,
Mogę tymczasem zostać u Regany,
Ja i stu moich rycerzy.

REGANA: Niecałkiem!
Jam nie liczyła na to i nie jestem
Przygotowana, aby was ugościć,
Jak się należy. Podajcie-że, panie,
Ucha mej siostrze; kto rozsądnie patrzy
Na uniesienie wasze, ten być musi
Zadowolony myślą, żeście stary,
A więc — lecz ona przecież wie, co czyni.

LIR: Czy to jest dobrze powiedziane?

REGANA: Panie,
Ja śmiem tak twierdzić. Pięćdziesięciu ludzi!
Czy to nie dosyć? Naco wam ich więcej?
Tak, nawet tylu, gdy niebezpieczeństwo
I koszt przemawia przeciwko tak wielkiej
Liczbie? Czyż w jednym domu pod dwoistą
Może zwierzchnością utrzymać się w zgodzie
Taka moc ludu? To trudno, to zgola
Niepodobieństwo.

GONERYLA: Panie miłościwy,
Czy dostatecznej nie miałbyś obsługi
Od jej czeladzi albo też od mojej?

REGANA: Przecz nie, milordzie? Gdyby się ważyli
W czemś wam uchybić, my ich ukarzymy.
Chcecie li do nas kiedyś przyjść — bo teraz
Niebezpieczeństwo widzę — weźcie z sobą
Proszę was o to, li dwudziestu pięciu,

Więcej nie będę mogła ni pomieścić,
Ani opatrzeć.

LIR: Dałem wam wszystko.

REGANA: I to w samą porę.

LIR: Ja uczyniłem was mymi stróżami
I zarządcami z tem li zastrzeżeniem,
Że mogę z sobą taką zabrać liczbę.
Mam przybyć do was z dwudziestu pięcioma?
Tak powiedziałaś, Regano?

REGANA: I jeszcze
Raz to powiadam, milordzie, nie więcej!

LIR: Tak szpetne stwory wydają się piękne,
Jeśli być może ktoś jeszcze szpetniejszy.
Nie być najgorszym i to jest już pewnym
Stopniem pochwały. (*do Goneryli*) Ja pójdę do ciebie.
Twoje pięćdziesiąt jest w dwójnasób większe
Od jej dwudziestu pięciu i twa miłość
Dwa razy większa jest od jej miłości.

GONERYLA: Racz mnie posłuchać, miłościwy panie
Naco potrzeba wam dwudziestu pięciu?
Dziewięciu, pięciu w domu, gdzie na wasze
Czeka zlecenie spać dwa razy tyle?

REGANA: Naco jednego?

LIR: O, ty nie rozumuj
O tem, co trzeba! Najlichszy wasz żebrak
Ma jakiś zbytek w swej największej nędzy.
Naturze więcej ponadto nie dawaj,
Co potrzebuje natura. Byt ludzi
Wart w sam raz tyle, co życie bydłęcia.
Tyś jasna pani: jeśli chodzić ciepło
Znaczy to samo, co strojnie, to juści
Naturze tego wcale nie potrzeba,
Byś się nosiła strojnie, bo to-ć ciepła
Chyba nie daje zbyt dużo. Atoli

Co do prawdziwej potrzeby — niebiosą,
 O, cierpliwości dajcie mi, cierpliwość
 Jest mi potrzebna! Widzicie przed sobą,
 O wy, bogowie, starego człowieka,
 Przygniecione go troską i latami,
 Nieszczęśliwego i w jednym i drugim.
 Jeżeli wy to podżegacie serca
 Tych oto córek przeciw rodzicowi,
 Nie róbcie ze mnie kpa, bym to łagodnie
 Znosił, szlachetnym rozpalcie mnie gniewem,
 Nie pozwalajcie, aby broń niewieścia,
 Ta kropla wody, skaziła to moje
 Oblicze męskie! Nie! Wynaturzone
 Jędze, ja na was obu taką wywrę
 Zemstę, że cały świat... dokonam czegoś,
 Czego, sam jeszcze nie wiem — lecz to będzie
 Przestrachem ziemi! Myślicie, że zechcę
 Płakać? Nie, płakać nie będę.

Mam pełen powód do płaczu, lecz serce

Raczej rozbije się na sto kawałów

Nim ja zapłaczę! Błaźnie! Oszaleję!

(wychodzą LIR, GLOSTER, KENT i BŁAZEN — *słychać nadciągającą burzę*)

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Pójdźmy do wnętrza;
 będzie burza.

REGANA: Dom ten jest mały, nie pomieści starca wraz
 z jego świtą.

GONERYLA: Sam sobie winien, sam się zbył spokoju
 i teraz płaci za swoją głupotę.

REGANA: O ile chodzi o niego, to chętnie wezmę go
 w dom swój, lecz ani jednego z świty.

GONERYLA: I ja mam ten zamiar. Lecz gdzie jest
 jego wysokość, pan Gloster?

KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI: Za starcem
Poszedł. — Już wraca.

(wraca GLOSTER)

GLOSTER: Król strasznie się zgniewał.

KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI: Dokądże idzie?

GLOSTER: Na koń siadać każe;

Lecz dokąd, nie wiem.

KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI: Najlepiej zostawić
Wolną mu drogę — niech ona go wiedzie.

GONERYLA: Tylko go nie proś, milordzie, ażeby
Pozostał tutaj.

GLOSTER: Niestety, noc idzie,
Okrutnie sroży ostra się wichura,
Wokół na kilka mil zaledwie jakiś
Znajdzie się krzaczek.

REGANA: Dla ludzi upartych
Nauczycielem musi być nieszczęście,
Które na siebie sprowadzają sami.
Zamknij, milordzie, bramy! Ma w swej świcie
Ludzi szalonych, a że ucho jego
Łatwo się daje nadużywać, przeto
Do czegokolwiek zechcą go podjudzić,
Roztropność temu zapobiec nam każe.

KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI:
Zamknij, milordzie; noc straszna, Regana
Dobrze nam radzi; schrońmy się przed burzą.

(wychodzą)

AKT TRZECI.

SCENA I.

Burza z piorunami i błyskawicą.

(wchodzi KENT i JEDEN z SZLACHTY)

KENT: Kto tu jest oprócz burzy?

SZLACHCIC: Człowiek, jak burza, wielce niespokojny.

KENT: Znam was. Gdzie król jest?

SZLACHCIC: Z rozgniewanemi walczy żywiołami,
Każe, by wichur ziemię zwał do morza,
Lub by spienione fale ląd zalały,
Aby się wszystko zmieniło, lub szczezło;
Wrywa sobie siwy włos, któremu
Wichur gwałtowny, miecąc nim w swej ślepej
Zapalczywości, straszliwie urąga;
W swym małym ludzkim świecie chce pogardą
Przemóc pogardę walczących ze sobą
Wiatru i deszczu. W tę noc, gdzie przy młodych
Chętnie wyssana legnie niedźwiedzica,
Gdzie lew i z głodu mrący wilk ze suchą
Rad uciec skórą, to on z nienakrytą
Tłumi się głową i daje wszystkiemu
Folę, cokolwiek się darzy.

KENT:

Kto jest z nim?

SZLACHCIC: Nikt, oprócz błazna, który usiłuje
Obracać w żarty tę serce kraczącą
Niedolę jego.

KENT: Ja znam waszą miłość
I na zasadzie mojej znajomości
Chcę wam powierzyć ważną rzecz: jest zatarg
Między albańskim księciem a Kornwalją,
Dotąd tajony, gdyż obaj skrywają
Oblicze jego wzajemną chytrą; —
Obaj ci mają służbę, niby wierną —
Bo któż jej niema, kogo gwiazdy szczęścia
Na tron wyniosły? — a która jest szpiegiem
Francji, dokładnie wiedzącej, co w naszym
Dzieje się państwie i jakie knowania,
Jakie niechęci panują pomiędzy
Obu książęty, jakie ciężkie jarzmo
Śmieli nałożyć temu szlachetnemu,
Staremu władcy i że jeszcze głębsze
Istnieją sprawy, co są może tylko
Przygrywką rzeczy poprzednich. Atoli
Jedno jest pewne, że z Francji nadchodzi
Wojsko w to państwo rozdarte; już ono,
Wykorzystując opieszałość naszą,
Umiało skrycie stanąć w kilku naszych
Najlepszych portach, rychło też otwarcie
Rozwinie sztandar. Teraz dla waszmości:
Na zaufaniu mojem gdy zechcecie
Tak się dalece oprzeć, by popędzić
Co tchu do dworu, spotkacie się z człekiem,
Który wam wdzięczny będzie, gdy mu wiernie
Skreślić raczycie, jaki ma król powód
Do tej, szaleństwo budzącej, naturze
Przeciwnej, troski.
Jestem szlachcicem z krwi i kości, przeto,

Znając was nieco i będąc was pewny,
Wam to zadanie powierzam.

SZLACHCIC: Pomówim o tem dalej.

KENT:

Nie, nie trzeba.

A zaś na dowód, że jestem czemś więcej,
Niż ma zewnętrzna osłona, przyjmijcie
Ten trzos i weźcie to, co w sobie mieści.
Gdy waszmość ujrzysz Kordelję, a niema
Żadnej obawy, by to się nie stało,
Pokaż jej pierścień ten, a ona-ć powie,
Kim jest towarzysz, którego waść jeszcze
Nie znasz dotychczas. Fe! Cóż to za burza!
Idę poszukać króla.

SZLACHCIC: Daj mi waść rękę; nie powiesz nic więcej?

KENT: Nie wiele nadto, lecz co najglówniejsza,
To: gdy znajdziemy króla, waść się udasz
W tę, a ja w tamtą stronę... Kto się pierwszy
Natknie na niego, w te tropy drugiemu
Zawoła „hola“!

(odchodzą każdy w swym kierunku)

SCENA II.

Inna część pustkowiea.

(burza trwa dalej — wchodzi LIR i BŁAZEN)

LIR: Dmijcie, wichury, rozsadzcie policzki!
Szalejcie! Dmijcie! Plujcie kataraktą
I nawałnicą, aż nam zalejecie
Wieże, aż kurki zatopicie na nich!
Siarczyście, szybkie, jak myśl, błyskawice,
Zwiastuny bełtów, druzgocących dęby,
Osmalcie głowę mą białą! Ty, gromie,

Ty, wstrząsający wszystkim, spłaszcz-że gruby
 Krąg świata, strzaskaj kształty przyrodzenia,
 Zniwecz odrazu wszelakie zasady,
 Tworzące ludzkość niewdzięczną!

BŁAZEN: O wujaszku! Świecona woda w świętym
 domu lepsza jest od deszczówki na dworze. Do izby,
 miły wujaszku! Proś córki o błogosławieństwo; jest to
 noc, która nie ma litości ani dla mędrców ani dla
 błaznów.

LIR: Hucz, hucz dosyta! Pluj, ogniu, lej, deszczu!
 Deszcz, wiatr, grom, ogień — to nie moje córki;
 Ja was, żywioły, o srogość nie winię,
 Kraju-m wam nie dał, nie zwałem was dziećmi,
 Wy posłuszeństwa mi niedłużne, przeto
 Dawajcie folgę okrutnej uciezce!
 Tu oto stoję, wasz niewolnik, biedny,
 Słaby, niepewny, pogardzany starzec,
 A przecież zwać was muszę służalcami,
 Albowiem z dwiema wyrodnemi córki
 Łączycie oto górne swe zastępy
 W boju przeciwko takiej, jak ta, głowie,
 Starej i siwej! O! O! To haniebne!

BŁAZEN: Kto ma dom, gdzieby mógł ukryć swą głowę,
 ten dobre ma nakrycie.

*Gdy portki chcą mieć dom.
 Nim głowa go posiadła,
 Trzeba się poddać wszom,
 Żrącym dziadowskie stadła.
 Kto pięcie puszcza wodze,
 Miast sercu folgę dać,
 Od żdźbła ten cierpi srodze
 I czuwa, zamiast spać!*

Albowiem nie było pięknej kobiety, coby nie stroiła min przed lustrem.

LIR: Nie, będę wzorem wszelkiej cierpliwości.
Nic już nie powiem.

(*wchodzi KENT*)

KENT: Kto tu?

BŁAZEN: Ano, łaskawość i portki, to znaczy mędrzec i błazen.

KENT: Ach, wy tu, panie? Twory, noc lubiące,
Nie lubią takiej, jak ta: gniewne niebo
Przeplasza nawet wędrowników mroku
I do kryjówek zapędza. Odkiedy
Jestem mężczyzną, nie pomnę, ażebym
Takich płomieni był świadkiem, bym słyszał
Taki trzask gromów straszliwych i takie
Jęki i wycia wichrów i ulewy.
Natura ludzka wytrzymać nie zdoła
Podobnej męki i grozy.

LIR: Bogowie,
Co szalejecie tak nad naszą głową
Odnajdźcie teraz swych wrogów! Drżysz, łotrze,
Co nieodkryte nosisz w sobie zbrodnie,
Których nie sięgnął bicz sprawiedliwości!
Ukryj się, krwawa ręko; wiarołomco
I kazirodco, udający cnotę,
Krusz się na drobne kawały, ty szujo,
Coś pod pokrywką uprzejmych pozorów
Godził na życie ludzkie. Wy, głęboko
Zamknięte winy, rozsądźcie tę uwięź,
Co was osłania i krzyczcie o łaskę
Straszliwych sędziów. Oto jestem człowiek,
Przeciw któremu więcej nagrzeszono,
Niż on nagrzeszył.

KENT: Ach, wy z gołą głową!
 Łaskawy panie, obok jest lepianka,
 Która was jakoś przyjmie przed tą burzą.
 Spocznijcie tutaj, tymczasem ja pójdę
 Do tego domu twardego, twardszego
 Od onych głązów, z których go wzniesiono;
 Właśnie tej chwili, gdym się pytał o was,
 Nie pozwolono wejść mi, lecz powrócę
 I skąpą litość wymuszę.

LIR: Me zmysły
 Coś się mieszają... Chodź-że tu, chłopaczku,
 Jak się, chłopaczku, miewasz? Jest ci zimno?
 I mnie jest zimno. Gdzież, druhu, ta słoma?
 Dziwną jest sztuka naszych potrzeb: z lichych
 Kosztowne umie robić rzeczy... Chodźmy
 Do waszej kletki. Biedny mój błazenku,
 Mam jeszcze jakąś odrobinę serca,
 Co się lituje nad tobą.

BŁAZEN: (*śpiewa*)

*Kto mózg ma leciutki jak włos —
 Hej! Hejże! Wiatr siecze i deszcz —
 Niech bierze, co daje mu los,
 Boć przecież deszcz pada codzień!...*

LIR: Prawda, chłopaczku! Więc do tej lepianki
 (LIR i KENT wychodzą)

BŁAZEN: Doskonała noc, aby ochłodzić nierządnicę
 Wypowiem prorocstwo, nim pójdę:

*Gdy księdza poznasz po zawodzie,
 A piwowara ujrzysz w słodzie,
 Krawiec u szlachty się zadłuży,
 Nie kacierz spleonie, lecz rajfurzy.
 Na słusznem prawie wyrok stanie,*

*Długów nie będą mieć dworzanie,
 Jezyk nie będzie znał potwarzy,
 Złodziej się w tłumie nie wydarzy,
 Lichwiarz się będzie rwał do pola,
 Kościoły wzniesie kurew wola,
 Wtedy to przyjdzie do gomonu
 Wielkiego w państwie Albionu:
 Wtedy — czekamy takiej chwili —
 Na nogach będziemy tu chodzili.*

Proroctwo to wygłosi Merlin, gdyż ja żyję przed jego dobą.

(wychodzi)

SCENA III.

Komnata w zamku Glostera.

(wchodzi GLOSTER i EDMUND)

GLOSTER: Ach! Ach! Edmundzie, nie podoba mi się to nienaturalne postępowanie. Kiedym ich prosił o pozwolenie, abym się nad nim ulitował, zabronili mi użytkowania z mojego własnego domu; kazali mi pod karą wiecznej niełaski ani mówić z nim ani wstawiać się za nim, ani wspierać go w jakikolwiek bądź sposób.

EDMUND: Bardzo surowo i wbrew naturze.

GLOSTER: Daj spokój, nie mów mi o tem. Jest rozdwojenie pomiędzy książęty i jeszcze co gorszego: otrzymałem list tej nocy — niebezpiecznie mówić o tem; schowałem list ten w swoim gabinecie: krzywdy, które król tutaj znosi, będą pomszczone, część wojska już tu wylądowała; musimy stanąć po stronie króla. Poszukam go i potajemnie wspierać go będę. Idź i zajmij księcia

rozmową, ażeby nie spostrzegł mojego współczucia; jeśli zapyta się o mnie, to jestem słaby i położyłem się do łóżka. Choćbym przypłacił to śmiercią, bo nie grozi mi nic mniejszego, to król, stary mój pan, musi otrzymać pomoc. Dziwne gotują się rzeczy, Edmundzie, proszę cię, bądź ostrożny.

(wychodzi)

EDMUND: O uprzejmości księżę, z przeproszeniem, Dowie się zaraz i o liście również.

Będzie to piękną, zdaje się, zasługą —
Co ojciec straci, tem mnie los obdarzy:
Młodzi się wznoszą, gdy padają starzy.

(wychodzi)

SCENA IV.

Część pustkowiecia z chałupą.

(burza trwa dalej — wchodzi LIR, KENT i BŁAZEN)

KENT: Tu jest to miejsce, milordzie! Do wnętrza
Wejść, dobry panie! Tyranja tej nocy
Zbyt jest okrutna, aby ją natura
Mogła wytrzymać.

LIR: Zostaw mnie samego

KENT: Wejść, dobry panie!

LIR: Chcesz złamać mi serce?

KENT: Raczejbym złamał swe własne; wejść, panie!

LIR: Wydaje ci się czemś straszmem, jeżeli

Ta wściekła burza dociera człekowi
Do samej skóry — tak się dzieje z tobą;
Lecz gdzie się większa zagnieździ choroba,
Tam mniejszą ledwie się czuje. Uciekasz
Precz przed niedźwiedziem, lecz jeśli ucieczka

Ku ryczącemu skieruje cię morzu,
Pędziłbyś w paszczę niedźwiedzią. Gdy wolny
Duch jest, to ciało jest czułe; ta burza
Śród mojej duszy odbiera mym zmysłem
Wszelakie czucie prócz tego, co tutaj
Tłucze się we mnie. — Ta niewdzięczność dzieci!
Czyliż to nie tak, jak gdyby te usta
Gryzły tę rękę za to, że im strawę
Wciąż podawała? Ale ja je skarzę:
Nie! Płakać więcej nie będę! Drzwi w takiej
Zamknąć mi nocy! Lej dalej! Wytrzymam!
W noc taką! O Regano! Goneryło!
Wasz stary, dobry ojciec, co z wolnego
Oddał wam serca wszystko, — o, szaleństwo
Leży na drodze tej; nie pójdę po niej...
Lecz dosyć o tem...

KENT: Dobry panie, wejdźcie.

LIR: Wejdz ty sam, proszę; dbaj o własną dolę.
Ta burza nie da rozważać mi rzeczy,
Dolegających gorzej. Ale wejde.

(do Błazna)

Idź naprzód, brachu... Ty nędzo bezdomna!
Idź-że, idź! Ja się pomodłę i zasnę.

(BŁAZEN *wchodzi do wnętrza*)

Nadzy biedacy, gdziekolwiek jesteście,
Znoszący ciosy bezlitosnej burzy,
Jak mogą wasze te bezdomne głowy,
Te wasze strawy pozbawione ciała,
Te wasze zdarte, nagością świejące
Nędzne łachmany — jak mogą was chronić
Przed takim czasem, jako ten? Ach! O tem
Za małym myślał! Weź lekarstwo, zbytku!
Naraż-że siebie, byś uczuł, co czują

Owi nędzarze, byś im zstrząśł swój nadmiar
I uratował sprawiedliwość nieba.

EDGAR: (*z wewnątrz*)

Półtora sążnia, półtora sążnia! Biedny Tomek!

(BŁAZEN *wybiega z chaty*)

BŁAZEN: Nie wchodź tam, wujaszku! Tam jest
duch! Na pomoc! Na pomoc!

KENT: Podaj mi rękę! — Kto tam jest?

BŁAZEN:

Duch, duch! Nazywa siebie biednym Tomkiem!

KENT: Cóż ty za jeden, co tak mruczysz w słomie?
Wyjdź!

(*wychodzi EDGAR, przebrany za warjata*)

EDGAR: Precz ode mnie! Zły wróg mnie tutaj ściga.
„Wskroś ostrych głazów zimny wieje wiatr“.

Hu! Do zimnego idź łóżka! Rozgrzej się!

LIR: Czyś wszystko oddał swym córkom? I tak
wyszedłeś na tem?

EDGAR: Kto da co biednemu Tomkowi, którego
zły duch wodził wskroś ognia i płomienia, wskroś bro-
dów i wirów, bagien i trzęsawisk, któremu noże kładł
pod poduszkę, a oklepce pod ławę, truciznę na szczury
sypał do polewki, do serca wbijał pychę, iżby na bystrym
gniadoszu cwałował po czterocalowej kładce, ścigał cień
swój własny jak zdrajcę?!... O du-du, du-du, du-du!...
Chroń-że cię Bóg od wichrów, złych gwiazd i zarazy.
Dajcie jałmużnę biednemu Tomkowi, którego trapi złe:
mógłbym je mieć teraz tutaj — i tutaj — i znowu tu-
taj i — tutaj...

(*burza trwa dalej*)

LIR: Czy go do nędzy tej przywiodły córki?
Nie ocaliłeś nic? Dałeś im wszystko?

BŁAZEN: Nie, zachował sobie plachtę, inaczej mu-
sielibyśmy się wszyscy wstydzić.

LIR: Niech wszystkie plagi, wiszące w powietrzu
Na pokaranie złych postępów ludzkich,
Spadną tej chwili na te córki twoje!

KENT: On nie ma córek, panie.

LIR: Śmierć zdrajcom! Nic tu nie może natury
Nagiąć do takiej podłości, jak one,
Córki niewdzięczne! Czy modą jest dzisiaj,
Aby wygnani ojcowie tak mało
Nad swem się własnem litowali ciałem?
Zdrowa to kara! Toć to ciało właśnie
Spłodziło owe córki pelikanie.

EDGAR: „*Kogucik siedział na koguciej grzędzie*“
Halo! halo! halo!

BŁAZEN: Ta zimna noc wykieruje nas wszystkich
na błaznów i warjatów.

EDGAR: Strzeż się złego ducha, słuchaj rodziców,
dotrzymuj słowa, nie przysiegaj, nie cudzołóż z zaprzy-
sięglą żoną bliźniego, prostego serca swego nie odziewaj
pychą! Tomkowi zimno.

LIR: Czem ty byłeś?

EDGAR: Kawalerem z pychą w sercu i głowie, co włos
sobie trefił, rękawiczki nosił u kapelusza, dogadzał pani
swego serca i spełniał z nią czyny ciemności; co tyle na-
składał przysięg, ile nagadał słów, i łamał je w uroczem
obliczu nieba; co zasypiał, pożądlive knując plany,
i budził się, aby je wykonać; wino lubilem strasznie, grę
w kości zapamiętałem, a co się tyczy kobiet, to w ko-
chaniu ich prześcigałem Turczyzna; fałszywego serca, ła-
twowiernego ucha, krwawej ręki, byłem wieprzem w le-
nistwie, lisem w złodziejstwie, wilkiem w żarłoczności,
psem w wściekłości, lwem w łupiestwie. Niech skrzy-
pienie trzewików lub szelest jedwabiu nie zdradza kobiecie
twego biednego serca; niech stopa twoja nie dotyka bor-
delów, ręka spódnicy, pióro ksiąg dłużnych i stawiaj

czoło złemu wrogowi. — *Wciąż jeszcze wskroś głazów zimny wieje wiatr — szu! szu! gwi — gwi — Delfinie, mój chłopcze, a puść-że go tu!*

LIR: Byłoby ci lepiej w grobie, niż i z nieodkrytem ciałem zetknąć się z takim szaleństwem niebiosów. — Czy człowiek nie jest niczem więcej, jak tem? Przypatrz-że mu się dobrze! Robakowi niewinien jedwabiu, skóry zwierzęciu, owcy wełny, piżma kotu. Ha! trzech nas jest tutaj niepofalszowanych. Ty jesteś czemś samem w sobie; człowiek, który się nie przystosował, jest niczem więcej, jak tylko biednym, nagiem, dwunożnem zwierzęciem, jakim ty jesteś. Precz, precz, dodatki! Chodźcie mnie rozpiąć!

(zdiera z siebie szaty)

BŁAZEN: Proszę cię, wujaszku, daj spokój. Nie-dobra ta noc do pływania. Teraz mały ogień w dzi-kiem polu byłby, jak serce starego rozpustnika: drobna iskierka, a reszta ciała zimna. Patrzajcie, zbliża się chodzący ogień.

EDGAR: To zły duch Flibertygibet: zaczyna wę-drówkę od wieczornego dzwonięcia, a kończy z pierw-szem paniem koguta, oczy dotyka łuszczką, skazką i zezem, wargi rozszczepia nakształt zajęczych, śniedzią pokrywa białą pszenicę i dręczy biedne stworzenia ziemskie.

*Trzy razy w pole wyszedł Wit święty,
Zmore z dziewięciu spotkał źrebięty
I każe jędzy
Zmykać co prędzej —
A czmychaj-że zmoro, a czmychaj!*

KENT: Jakże się miewa wasza miłość?
(wchodzi GLOSTER z pochodnią)

LIR: Któż to?

KENT: Kto tutaj? Kogo tu szukacie?

GLOSTER: Co waść za jeden? Nazwisko?

EDGAR: Biedny Tomek, co zjada pływającą żabę, ropuchę, kijankę, jaszczurkę ziemną i wodną; co w wściekłości serca, gdy zły duch szaleje, krowie je łajno zamiast sałaty, pochłania starego szczura i psa zdechłego, spija zieloną pokrzywę z stojącego bagna; co bywa przepędzany od gminy do gminy, biczowany, osadzany w dyby, więziony; co miał kiedyś trzy kurty dla grzbietu, sześć koszul dla ciała;

*Konia do jazdy i miecz do noszenia;
Lecz szczury i myszy i inne stworzenia
Od siedmiu lat Tomek w swój specjal przemienia.*

Strzeżcie się mojego prześladowcy... Cicho, Smulkinie!
Cicho, ty zły duchu!

GLOSTER: Nie masz lepszego, panie, towarzystwa?

EDGAR: „*Książę ciemności szlachcicem jest*“,
Zowie się Modo i Mahu.

GLOSTER: Ciało i nasza krew tak złe się stały,
Że nienawidzą tych, co je splodzili.

EDGAR: Tomkowi zimno.

GLOSTER: O, chodźcie-że ze mną.
Me przywiązanie znieść nie może tego,
Iżby słuchało twardych słów twych córek.
Choć polecily mi zamknąć me bramy
I pozostawić cię na łup tej nocy
Nielitościwej, ważyłem się przecież,
By cię odszukać i powieść do strawy,
Panie, i ognia.

LIR: Wprzód jeszcze pomówię
Z tym filozofem. Skąd się rodzi piorun?

KENT: Przyjmijcie jego ofiarę i idźcie,
Dobry mój panie.

LIR: Chcę zamienić słówko
Z tym oto samym tebańskim uczonym:
Nad czym rozmyślasz?

EDGAR: Jak strzec się złego i tępić robactwo.

LIR: Jeszcze mam z tobą słoweczko na stronie.

KENT: Naglij go dalej, aby szedł, milordzie.
Snać mu się zmysły zaczynają mieszać.

GLOSTER: Można-ż go za to łąać? Córki jego
Chcą jego śmierci! Ach, ten Kent mój zacny,
On przepowiedział, że tak się to stanie!
Biedny wygnaniec!... Król, mówisz, oszalał,
A ja ci powiem, druhu, że ja również
Wnet oszaleję: posiadałem syna,
Dziś on wykluczony od krewieństwa ze mną;
Godził na życie me niedawno temu,
Bardzo niedawno; kochałem go, druhu,
Nigdy syn droższy nie był rodzicowi.
Mówiąc ci prawdę, ból mi zwichnął zmysły...
Co za noc!... Proszę waszej wysokości —
(burza ustaje)

LIR: Wybaczcie, panie!... Chciej nam towarzyszyć,
Cny filozofie.

EDGAR: Tomkowi jest zimno.

GLOSTER: Idź-że, człowieku, do swojej chałupy,
Trzymaj się ciepło.

LIR: Chodźmy za nim wszyscy.

KENT: Tędy, milordzie.

LIR: Idźcie z nim. Ja jeszcze
Zostanę tutaj z moim filozofem.

KENT: Dogódź mu, panie, niech z sobą zabierze
Tego człowieka.

GLOSTER: Weźcie go ze sobą.

KENT: Chodź razem z nami.

LIR: Chodź, mój Ateńczyku.

GLOSTER: Ani słóweczka teraz! cicho! cicho!

EDGAR:

*Pan Rowland przyszedł do ciemnej wieży —
Mawiał on zawsze: Je! zapach świeży —
Fu! Czuję zapach brytyjskiej krwi!
(wychodzą)*

SCENA V.

Izba w zamku Glostera.

(wchodzi KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI i EDMUND)

KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI: Muszę się na nim zemścić, zanim opuszczę dom jego.

EDMUND: Jakżeż, milordzie, skalować mnie będą, że natura ustąpiła z drogi obowiązкови! Trochę się boję myśleć o tem.

KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI: Przekonam się teraz, że brat waszmości niecałkiem z złego serca godził na jego życie; działo się to raczej dzięki wyzywającej, karygodnej niepoczciwości tamtego.

EDMUND: Jak złośliwym jest mój los, że muszę żałować swej prawości. Tu oto list ten, o którym mówił, a który udowadnia przynależność jego do stronnictwa na korzyść Francji. O niebiosa! Bodajby nie było tej zdrady, lub bodajbym nie ja był jej odkrywcą.

KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI: Chodź ze mną do księżnej!

EDMUND: Jeżeli treść tego listu jest pewna, to książe ma wielką rzecz w ręku.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Prawdziwa czy fałszywa, ona uczyniła ciebie hrabią Glosterem. Dowiedz się, gdzie twój ojciec, aby go natychmiast można przytrzymać.

EDMUND: *(na stronie)* Jeżeli go znajdę niosącego pomoc królowi, tem bardziej wzmocni to podejrzenie.— *(głośno)* Będę trwał dalej na drodze mej wierności, jakkolwiek ciężką jest walka pomiędzy tem, a mą krwią.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Darzyć cię będę zaufaniem i w miłości mojej droższego znajdziesz ojca.

SCENA VI.

*Izba w dworku folwarcznym Glostera
w pobliżu zamku.*

(wchodzą GLOSTER, LIR, KENT, BŁAZEN i EDGAR)

GLOSTER: Lepiej tu, niż na wolnem powietrzu, przyjmijcie to z wdzięcznością. Dla wygody waszej dałem wszystko, co tylko mogę; zjawię tu się niebawem.

KENT: Wszelka siła ducha ustąpiła miejsca zniecierpliwieniu: niech bogowie nagrodzą waszą uprzejmość!

(wychodzi GLOSTER)

EDGAR: Frateretto mnie woła i mówi, że Nero łowi ryby w jeziorze ciemności. *(do Błazna)* — Módl się niewinny, i strzeż się złego ducha.

BŁAZEN: Proszę cię, wujaszku, powiedz mi, czy warjat jest szlachcicem czy gburem?

LIR: Królem! Królem!

BŁAZEN: Nie! Gburem, który ma syna szlachcica; bo warjatem jest gbur, który widzi, jak syn jego szlachcicem zostaje przed nim.

LIR: Mieć jaki tysiąc z ognistemi dzidy,
Coby się na nie rzucił z sykiem!

EDGAR: Zły duch gryzie mnie ztyłu.

BŁAZEN: Warjatem jest, kto liczy na łagodność wilka, na zdrowie konia, na miłość chłopca i na przysięgę kurwy.

LIR: Tak będzie dobrze, pozwę je natychmiast.

(do Edgara)

Chodź, siadaj tutaj, ty uczony sędzio!

(do Błazna)

Ty, świątły panie, siądź tu! No, wy liszki!

EDGAR: Patrz, jak on siedzi i wytrzeszcza ślepie! Czy nie masz oczu przed sądem, ma pani?

Do mnie tu, Basiu na drugi brzeg wody!

BŁAZEN:

*Ma szparę jej łódka,
Lecz nie powie młódka,
Że takiej się boi przeszkody.*

EDGAR: Zły duch dręczy biednego Tomka głosem słowika. Kuternoga wrzeszczy w brzuchu Tomka o dwa białe śledzie. Nie kracz, czarny aniele; nie mam dla ciebie strawy.

KENT: Cóż, wasza miłość? Nie bądź tak zgnębiony! Może wypoczniesz, legniesz na pościeli.

LIR: Naprzód przesłuchy. Sprowadźcie mi świadków.

(do Edgara)

Ty, panie w todze, zajmij-że swe miejsce.

(do Błazna)

A ty, ławniku, towarzyszu jego,

Siadaj tu obok. *(do Kenta)* I waszmość należysz Do tej komisji, więc siadaj-że również.

EDGAR: Sądźmy sumiennie.

Śpisz czy czuwasz, owczaryszku miły?

Owieczka twoja poszła w zboże.

Ale gdy zagrasz na swej pieszczalczce,

Nic złego stać się jej nie może.

Brr! Kocica jest bura.

LIR: Pozywajcie nasamprzód tę; to Goneryła. Składam przysięgę przed tem sławetnem zgromadzeniem, że kopnęła biednego króla, swego ojca.

BŁAZEN: Przystąp tu, pani. Zwiesz się Goneryłą?

LIR: Zaprzeczyć temu nie może.

BŁAZEN: Wybaczcie, pani, wziąłem was za składany stolek.

LIR: A to jest druga, której kose oczy Świadczą, co w sobie ukrywa jej serce.

Łapaj-że! Broni! Broni! Miecza! Ognia!

Tu jest przekupstwo! Ty fałszywy sędzio, Czemuś pozwolił na to, by uciekła?

EDGAR: Poleć Bogu swoje pięć klepek.

KENT: O dolo!... Panie, gdzież jest ta cierpliwość, Którąś się chępił, że ją zachowujesz?

EDGAR: *(do siebie)*

Łzy me tak bardzo biorą jego stronę,
Że mi zepsują mą rolę.

LIR: Nawet maleńkie pieski,
Fiuś i Biela i Kruczek, patrzajcie,
Szczekają na mnie:

EDGAR: Tomek gotów na nie rzucić swą głowę!
A do budy, kondle.

*Pysk wasz czarny czy też biały,
Nie wiem, jakbyście kasały.
Charty, wyżły, muce, brysię,
Plemię gończe czy kundysie,
Wy z długimi ogonami
Czy krótkimi, gdy za wami
Rzuci Tomek swoją głowę,
Z wyciem umknąć wy gotowe.*

Hej! hej-że! hej! huzia! Dalej! Na kiermasze i jarmarki!
Biedny Tomku, róg ci twój wysechl!...

LIR: Niech zanatomizują Reganę; niech zobaczą,
co legnie się w jej sercu. Czy jest w naturze przyczyna,
sprowadzająca taką serc zatwardziałość?

(do *Edgara*) Uważam waszmość pana za jednego
z mej setki; tylko nie podoba mi się krój twego stroju —
może powiesz, że to na sposób perski — ale każ go odmienić.

KENT: Poleż tu, panie, i wypocznij chwilę.

LIR: Nie róbcie hałasu, nie róbcie hałasu; zaciągnij-
cie firankę, tak, tak, tak; wieczerzać będziemy jutro zrana;
tak, tak, tak.

BLAZEN: A ja do łóżka pójdę w południe.

(wraca GLOSTER)

GLOSTER: Chodź, przyjacielu, gdzie jest król, mój
władca?

KENT: Tutaj jest, panie; tylko nie przeszkadzać!
Utracił zmysły.

GLOSTER: Zacny przyjacielu,
Weź go na ręce; słyszałem o spisku
Na jego życie: mamy tu lektykę,
Wsadźże go do niej i śpiesz się do Dowru,
Gdzie znajdziesz pomoc i miłe przyjęcie.
Zabieraj pana; jeżeli się spóźnisz
Choć pół godziny, jego i twe życie
I życie wszystkich, co go bronić pragną,
Będzie na pewną wystawione zgubę.
Bierz-że go, bierz go i za mną! Na wszelki
Zasię wypadek sprawny dam ci poczet.

KENT: Oto znękana zasnęła natura:
Ten wypoczynek może być balsamem
Dla sił starganych, które bez tej ulgi
Trudno by mogły się wyleczyć. (do *Blazna*) Dalej!

Pomóż-że ponieść swego pana; wtyle
Zostać nie możesz.

GLOSTER: Dalej! Dalej! Chodźmy!

(*wychodzą KENT, GLOSTER i BŁAZEN, unosząc LIRA*)

EDGAR: Gdy widzim lepszych od siebie w niedoli,
Zapominamy, co nas samych boli.

Najbardziej cierpią ci, co cierpią sami,
Wziąwszy w swej duszy rozbrat z rozkoszami;

Lecz ból niejeden dusza wnet przemoże,
Gdy towarzyszków znajdzie w gorzkiej porze.

Lekka ma dola i znośna, boć przecie
Zgniotło i króla to, co mnie tak gniecie —

On jest bez dziatek, ja bez ojca! Nuże,

Poczekaj, Tomku, aż ucichną burze,

Aż się ta potwarz, co tak krzywdzi ciebie,


Przed twą prawością w niepamięć zagrzebie.

Niech, co chce, będzie w noc tę, byle uszedł

Król... Baczość! Baczość!

(*wychodzi*)

SCENA VII.

 *Komnata w zamku Glostera.*

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI, REGANA, GONERYLA,
EDMUND i SŁUŻBA.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Jedź, pani, natychmiast
do jego dostojności twego małżonka; pokaż mu ten list —
wylądowało wojsko francuskie. Poszukać zdrajcy Glostera.

(*KILKU z SŁUŻBY wychodzi*)

REGANA: W te tropy go powiesić!

GONERYLA: Wylupić mu oczy!

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Zostawić go memu gniewowi.
Edmundzie, dotrzyмай towarzystwa naszej siostrze.

Zemsta, którą zniewoleni jesteśmy wykonać na twoim ojcu, chyba nie zgadza się z twoją obecnością. Przybywszy do księcia, przynaglaj go do najspieszniejszego pogotowia; my zobowiązujemy się również do tego. Gońcy nasi muszą z nami porozumiewać się szybko. Żegnaj, droga siostrze; żegnaj, miłościwy panie Glosterze.

(wchodzi OSWALD)

I cóż, gdzie jest król?

OSWALD: Jasny pan Gloster stąd go uprowadził: Jakich trzydziestu pięciu, lub trzydziestu Sześciu rycerzy, którzy go szukali Zetknęło z nim się u bramy i razem Z kilku innymi podwładnymi lorda Udało w Dowru się stronę, gdzie myślą Znaleźć przyjaciół godnie uzbrojonych.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI:

Każ przyprowadzić konie swojej pani.

GONERYLA: Żegnam, milordzie, i siostrze.

(GONERYLA, EDMUND i OSWALD wychodzą)

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI:

Żegnaj, Edmundzie. Idźcie, poszukajcie Zdraycy Glosterza, zwiążcie, jak złodzieja, I przyprowadźcie go do nas.

(INNI z SŁUŻBY wychodzą)

Jakkolwiek

Do jego życia brać się nie możemy,
Nie mając prawnej podstawy, moc nasza
Musi naszemu ustąpić gniewowi.
Ludzie to zganiają, lecz do tłumaczenia
Zmusić nie mogą. Któż to? Czy to zdrajca?

(wraca SŁUŻBA z GLOSTEREM)

REGANA: Niewdzięczny lis! Tak on!

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI:

Związać mu zwiędłe ramiona.

GLOSTER: Co mniema wasza łaskawość? O, zważcie,
Cni przyjaciele, wszak moi wy goście,
Nie czyńcie ze mną takiej krotchwilii.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Związać go, mówię!
(*służba wiąże Glostera*)

REGANA: Silnie! Nędzny zdrajca!

GLOSTER: Nielitościwa niewiasto! Ja nigdy
Zdrajcą nie byłem.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Przywiążcie go tutaj,
Do tego stolka... Zobaczysz, ty łotrze —
(*Regana targa go za brodę*)

GLÖSTER: Na miłość bogów, zbyt to nieszlachetnie
Targać za brodę —

REGANA: Tak siwy, a taki
Zdrajca!

GLOSTER: Nikczemna niewiasto! Te włosy,
Które wyrwałaś z mej brody, ożyją,
By cię oskarżyć. Jestem wasz gospodarz:
Nie powinniście mej, gościąną tchnącej,
Twarzy zbójecką dotykać się ręką.
Cóż wy pragniecie ze mną czynić?

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Powiedz,
Jakież to listy odebrałaś z Francji?

REGANA: Odpowiedz krótko, bo my znamy prawdę.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI:
I jaki związek masz waćpan z zdrajcami,
Co świeżo naszli królestwo?

REGANA: W czyjeś dał ręce szalonego króla?
Mów!

GLOSTER: List dostałem pisany na domysł
Ręką człowieka, który jest bezbronny,
A nie od kogoś z przeciwników.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Wykręt.

REGANA: I to fałszywy.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Gdzieś wyprawił króla?

GLOSTER: Do Dowru.

REGANA: Czemu do Dowru? Czyż nie szło
O twoje życie —

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Dlaczego do Dowru?
Niechże odpowie on na to!

GLOSTER: Do słupa
Jestem przywiązany, muszę znosić szczywanie.

REGANA: Czemu do Dowru?

GLOSTER: Bom nie chciał patrzeć, jakby twe pazury
Wydzieraly mu biedne, stare oczy,
Lub jakby wściekła twa siostra wbijała
Kły swe w to jego namaszczone ciało.
Śród takiej burzy, jaką on z odkrytą
Wytrzymał głową w noc czarną, jak piekło,
Byłoby morze spiętrzyło się wgórę
I pogasiło ognie gwiazd —

Lecz on, to stare, biedne serce, niebu
Pomagał kąpać się w deszczu; jeżeli
Wilki u twoich zawyłyby wrótni
W czas równie straszny, tobyś zawołała:
„Odźwierny, otwórz!“ Wszelakie stworzenie,
Tak przedtem dzikie, złagodniało wówczas.
Ale ja widzę, jak zemsta skrzydłata
Dotrąca dzieci podobne.

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Nie ujrzysz
Tego przenigdy. *(do służby)* Przytrzymajcie stołek —
Oczy ja twoje rozdepcę nogami!

GLOSTER: Kto pragnie jeszcze doczekać starości,
Niech mnie ratuje! Bogowie, to straszne!

REGANA: Jedna część twarzy szydzić będzie z drugiej —
A więc i tamte!

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Jeśli widzisz zemstę — —

PIERWSZY SŁUGA:

Powstrzymaj rękę, panie miłościwy!
Jam tobie służył od mych lat dziecięcych,
Nie wyświadczyłem ci jednakże nigdy
Lepszej usługi, niż teraz, wołając:
Stój!

REGANA: Ty psie jeden! Co to jest?

PIERWSZY SŁUGA:

O pani,

Jeślibyś miała włosy na swej brodzie,
Jabym je wyrwał pośród takiej walki.
Cóż zamierzacie?

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI: Ty chamie!

(dobywa miecza)

PIERWSZY SŁUGA: *(również dobywa miecza)*

A zatem

Masz, co ci daje ten traf mego gniewu!

(walczą — książe Kornwalijski otrzymuje ranę)

REGANA: Daj mi tę szpadę!... Cham i taki hardy!
(bierze miecz z ręki drugiego sługi i sługę pierwszego napada z tyłu)

PIERWSZY SŁUGA:

O, jam zabity!... Miłościwy panie,
Jedno wam jeszcze pozostało oko,
Byście widzieli jego karę... O!

(umiera)

KSIAŻĘ KORNWALIJSKI:

Aby podobnych nie widziało więcej,
Zarządę temu... A wyskocz-że, marna
Ty galaretko!

(wydziera Glosterowi drugie oko) Gdzie twój blask jest teraz?

GLOSTER: Noc naokoło i rozpacz! Gdzie Edmund,
Syn mój? Edmundzie, o, rozpal wszelakie
Skry przyrodzenia i pomścij ohydny
Czyn ten!

REGANA: O precz mi, ty łotrze zdradziecki!
Przyzywasz tego, co cię nienawidzi.

On to nam odkrył twoje przemieszanie;
Zbyt on szlachetny, aby cię żałował.

GLOSTER: O ty, głupoto moja! Zatem Edgar
Został pokrzywdzony!

Wybaczcie-że mi, bogowie, a jemu
Pobłogosławcie!

REGANA: Precz z nim! Precz za bramy,
Niech węszy drogę do Dowru!... Milordzie,
Jakże się czujesz?

KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI: Otrzymałem ranę.
Chodź ze mną, pani. Wyrzucić mi tego
Ślepego łotra! Precz z tym nikczemnikiem
Na kupę gnoju!... Krew cieknie, Regano,
Nie w porę to się zdarzyło! Daj ramię.

*(wychodzi KSIĄŻĘ KORNWALIJSKI, prowadzony przez
REGANĘ, kilku sług rozwiązuje i wyprowadza GLOSTERA)*

PIERWSZY SŁUGA:

Nie wiem naprawdę, na jakie łotrostwo
Mógłbym się zdobyć, gdyby się ten człowiek
Miał tu wylizać.

DRUGI SŁUGA: Jeśli ona długie
Pożyje lata i w końcu zwyczajną
Odejdzie śmiercią, wszystkie się kobiety
Zmienia w potwory.

PIERWSZY SŁUGA:

Chodźmy za starym hrabią; Bedlamczyka
Sprowadźmy tutaj, niechże go zawiedzie,
Gdzie zechce; jego szaleństwo żebracze
Nadaje mu się do wszystkiego.

DRUGI SŁUGA: Idź ty; ja lnu zaś przyniosę i białka,
By mu opatrzyć twarz! Niech Bóg go wspiera!

(odchodzą każdy w przeciwną stronę)

AKT CZWARTY.

SCENA I.

*P u s t k o w i e.**(wchodzi EDGAR)*

EDGAR: Przecież jest lepiej żyć w jawnej pogardzie
Niżli doznawać wzgardy od pochlebców.

Jesteś najlichszym: najniższa istota,
Ręką Fortuny całkiem odepchnięta,
Żyje wciąż jeszcze w nadziei, nie w trwodze:
Żalosa zmiana zachodzi li w gniewie,
Los najbiedniejszy w uśmiech się przemienia.
Więc bezistotne święć mi się powietrze,
Które zamykam w te ramiona! Nędzarz,
Stracon przez ciebie w najgorszą niewolę,
Nic sobie z burz twych nie robię. A, któż tu
Idzie?

*(wchodzi GLOSTER, prowadzony przez STAREGO
CZŁOWIEKA)*

Mój ojciec, prowadzon, jak żebrak?

O świecie, świecie, o ty świecie! Gdyby
Dziwne przemiany twoje i koleje
Nie kazały nam nienawidzić ciebie,
Życie późnego nie zniosłoby wieku.

STARY CZŁOWIEK: O dobry panie, byłem twym
dzierżawcą, dzierżawcą twego ojca przez te lat ośm.

GLOSTER: Odejdź stąd, odejdź, przyjacielu, odejdź!
Ta pomoc twoja na nic mi się nie zda,
A ciebie może przyprawić o szkodę.

STARY CZŁOWIEK:

Przecież wy, panie, nie widzicie drogi.

GLOSTER: Ja nie mam drogi, więc mi też i oczu
Wcale nie trzeba. Potknąłem się przecie,
Kiedy widziałem. Często spostrzegano,
Że niedostatek jest dla nas zbawienny
I że na korzyść braki nam wychodzą.
O drogi synu, Edgarze, ofiario
Złości twojego zwiedzionego ojca!
Gdybym ja dożył chwili, by cię ujrzeć
Dotknięciem rąk mych, powiedziałbym wówczas,
Że znów mam oczy.

STARY CZŁOWIEK: Cóż to? Kto jest tutaj?

EDGAR: *(na stronie)*

O wy bogowie! Któżby mógł tu rzeknąć
„Gorzej mi być już nie może?” Co do mnie,
To jest mi gorzej, niżli kiedykolwiek!

STARY CZŁOWIEK:

To jest ten biedny, obłąkany Tomek.

EDGAR: *(na stronie)*

A może jeszcze być mi gorzej; przecież
Nie jest najgorzej, dopóki możemy
Powiedzieć sobie: „Teraz jest najgorzej.”

STARY CZŁOWIEK: Dokądże idziesz, człowieku?

GLOSTER: To żebrak?

STARY CZŁOWIEK: Warjat i żebrak.

GLOSTER: Ma on jeszcze rozum,

Inaczej wszakby nie żebrał. Ostatniej
Burzliwej nocy widziałem takiego,
Jak on, człeczynę, który mi się wydał

Raczej robakiem, niż człowiekiem; syn mój
Przyszedł mi na myśl, choć ongi myśl moja
Chyba nie była dla niego przyjazną.
Od owej chwili słyszałem coś więcej;
Czem są dla chłopców rozpasanych muchy,
Tem my jesteśmy dla bogów; biją nas
Dla krotchwili.

EDGAR: (*na stronie*) I cóż ja mam robić?
Licha to sprawa błaznować z cierpieniem
I drażnić siebie i innych. Bóg z wami,
Łaskawy panie.

GLOSTER: To ów nagi człowiek?

STARY CZŁOWIEK: Tak, miłościwy panie.

GLOSTER: A więc proszę,
Idź-że do domu. Gdybyś jeszcze dla mnie
Chciał podejść z nami jedną lub dwie mile
Dalej na drodze do Dowru, uczyni to
Z dawnej miłości i przynieś ze sobą
Jakie okrycie dla tej nagiej duszy.
Chcę go poprosić, by on mnie prowadził.

STARY CZŁOWIEK: Panie, to warjat.

GLOSTER: Jest to kłeską czasu,
Że warjaci wodzą ślepców. Uczyni,
O co cię proszę, tak, jak ci się widzi,
A w każdym razie, idź teraz.

STARY CZŁOWIEK: Przyniosę
Najlepszą odzież jaką mam; niech z tego,
Co chce, wyniknie.

(*wychodzi*)

GLOSTER: Słuchaj, ty nagi człowieku — —

EDGAR:

Tomkowi zimno. (*na stronie*) Nie wytrzymam dłużej.

GLOSTER: Chodź-że, człowieku.

EDGAR: (*na stronie*) A przecież muszę.

(*głośno*) Niech Bóg ma twe oczy
W świętej opiece swojej! Krew z nich cieknie.

GLOSTER: Czy ty znasz drogę do Dowru?

EDGAR: Ścieżki i oplotki, drogi i drożyny. Biedny Tomek utracił zdrowe zmysły. Niech Bóg cię, poczciwy synu człowieczy, chroni od złego ducha. Pięciu złych duchów siedziało naraz w biednym Tomku: Obidykut, duch pożądliwości, Hopsasa, księżę niemoty, Mahu, kradzieży, Modo, morderstwa, i Filibertigibet, duch fiochów i krygów, który od tego czasu opętał pokojówki i garderobiane. Bóg z wami, panoczku.

GLOSTER: Masz, weź tę kieszkę, ty, którego nieba
Zgięły w swym gniewie pod wszelakie ciosy.
Żem ja nędzarzem, przez to tyś szczęśliwszy.
Czyńcie tak zawsze, niebioso! Niech człowiek,
Żyjący w zbytkach, nasycon rozkoszą,
Urągający waszym przykazaniom,
Nie chcący widzieć, ponieważ nie czuje,
Poczuje nagle waszą moc; w ten sposób
Podział by zbytki zniósł i każdy człowiek
Miałby dla siebie, co trzeba. Znasz Dower?

EDGAR: Tak, panie.

GLOSTER: Jest tam opoka, której szczyt urwisty
Spogląda groźnie w przepastną głębinę.
Zaprowadź-że mnie pod samą jej krawędź,
A ja twej nędzy, którą dźwigać musisz,
Ulżę kosztownem czemś, co mam przy sobie.
Stamtąd obejdę się bez przewodnika.

EDGAR: Podaj mi rękę, Tomek cię powiedzie.

(*wychodzą*)

SCENA II.

Przed pałacem księcia Albanji.

(wchodzi GONERYLA i EDMUND)

GONERYLA: Witam was, panie; dziwię się, że dotąd
Nie wyszedł mąż mój na wasze spotkanie.

(wchodzi OSWALD)

Gdzie pan?

OSWALD: Jest w domu, proszę jasnej pani,
Lecz nigdy człowiek nie był tak zmieniony:
Gdym opowiedział mu, że ono wojsko
Wylądowało, uśmiechnął się na to;
Gdym opowiedział mu o twym powrocie,
Odrzekł: „tem gorzej“; o zdradzie Gloстера
I o tej wiernej służbie jego syna
Kiedym mu wspomniał, on nazwał mnie głupcem
I rzekł, iż sprawę traktuję naopak.
Coby go razić powinno, to właśnie
Wydaje mu się przyjemnem, zaś przykrem,
Co mu się winno podobać.

GONERYLA: Jest to ta mizerna
Tchórzliwość ducha, która się na żadne
Nie może zdobyć przedsięwzięcie; krzywdy
On nie odczuje, jeśli tylko trzeba
Stawić jej czoło. Życzenia, o których
Wspominaliśmy po drodze, te mogą
Być wypełnione. Powracaj, Edmundzie,
Do mego brata, przynaglij zbrojenia
I przywiedź jego tu wojsko. Ja muszę
Zamienić oręż i kądziel mojemu
Wręczyć mężowi. Ten o, wierny sługa,
Będzie pomiędzy nami pośrednikiem:
Jeżeli zechcesz ważyć się na wszystko

W swej własnej sprawie, usłyszysz niebawem
Rozkaz swej pani... Noś to, a bądź skąpy

(daje mu upominek)

W słowach. Schył głowę!... O, ten pocałunek,
Gdyby mógł mówić, uniósłby w przestwory
Twojego ducha...

EDMUND: Twój do samej śmierci.

GONERYLA: Mój ty najdroższy Glosterze!

(wychodzi EDMUND)

O jakież

Pomiędzy mężem różnica a mężem!
Tobie niewieścią winnam ja uległość,
A tamten błazen rości sobie prawa
Do mego ciała.

OSWALD: Pani, pan mój idzie.

(wychodzi)

(wchodzi KSIĄŻĘ ALBAŃSKI)

GONERYLA: Byłam ja warta świstawki.

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI:

Nie wartaś

O Gonerylo, pyłu, który wiatr ci
Sypie w oblicze. Lękam się twojego
Uspodobienia. Natura, gardząca
Szczepem, z którego powstała, nie może
Znaleźć dla siebie granic w samej sobie;
Gałąź, jeżeli od pnia się oderwie
Macierzystego, musi schnąć koniecznie
I stać się pastwą śmierci.

GONERYLA: Dość już tego —

Głupie kazanie.

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI: Mądrość i uczciwość
Złym tylko mogą czemś się złem wydawać.

Gnój pachnie tylko gnojownią. I cóż wy

Uczyniłyście tutaj? Tygrysice,

Nie żadne córki, cóż wyście zrobiły?

Ojciec i starzec dostojny, którego
Ze cziąby lizał sam kudłaty niedźwiedź,
Przez was — o hańbo! o czynie wyrodny! —
Popadł w szaleństwo. Mógłże brat mój zacny
Znieść ten postępek? On, mężczyzna, ksiązę,
Któremu tyle wyświadczył dobrodziejstw!
Jeśli niebiosa nie ześlą naocznie,
A jak najprędzej, swych duchów, ażeby
Te niegodziwe ukrócić występki,
Przyjdzie do tego,
Że ludzie wzajem pożerać się będą
Niby potwory głębin...

GONERYLA: O człowieku
Wielkiego serca, ty, co masz oblicze
Li dla policzków, a głowę dla hańby,
Ty, co pod brwiami niemasz oka nato,
Aby odróżnić honor od obelgi,
Ty nie wiesz o tem, że tylko się głupcy
Litować zwykli nad łotrem, którego
Kara dosięgła, nim spełnił łotrostwo.
Gdzież jest twój bęben? Francja swe sztandary
Rozwija w naszej spokojnej krainie,
Wróg pióropuszem grozić nam zaczyna,
A ty, cnotliwy truteń, siedzisz cicho
I utyskujesz: „Ach! Przecz on to czyni?”

KSIAŻĘ ALBAŃSKI:
Popatrz na siebie, ty djable! Brzydota
Samego czarta nie jest tak ohydna,
Jak u kobiety.

GONERYLA: O pusty półgłówku!

KSIAŻĘ ALBAŃSKI:
O ty szpecący się odmieńcze! Hańba!
Obliczu swemu nie nadawaj wstrętnych
Rysów potwora! Gdyby się godziło

Aby ta ręka słuchała krwi mojej,
Łatwoby mogła oddzielić i zmiążyć
Ciało i kości. Choć jesteś szatanem,
Chroni cię postać niewieścia.

GONERYLA: Doprawdy,
Jakaż to męskość u ciebie!

(*wchodzi GONIEC*)

Co słyhać?

GONIEC: Łaskawy Panie! Zmarł książę Kornwalji,
Zabit przez sługę w chwili, kiedy drugie
Wydierał oko Glostera.

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI: Co? Oko
Glostera?!

GONIEC: Sługa, wychowany przezeń,
Zdjęty litością, oparł się czynowi
I dobył miecza przeciw swemu panu;
Ten, rozwścieklony, rzucił się na niego
I przy pomocy innych na śmierć ubił.
Lecz sam on także cios dostał zabójczy,
Który go wkońcu powalił.

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI: Wiadomo,
Że wy tam wgórze jesteście sędziowie,
O, jakże szybko umiejący karać
Tę oraz inne ziemskie nasze zbrodnie.
Nieszczęsny Gloster! Powiedz, czy on oba
Utracił oczy?

GONIEC: Oba, oba, panie.
List ten wymaga szybkiej odpowiedzi,
Jest on od siostry miłościwej pani.

GONERYLA: (*na stronie*)
Poczęści jestem kontenta, lecz skoro
Ona jest wdową, a Gloster mój przy niej,
Cała budowa mojej wyobraźni
Gotowa runąć na me wstrętne życie.

Lecz z drugiej strony nie są znów tak przykre
Te wiadomości niniejsze. Przeczytam
I dam odpowiedź.

(wychodzi)

KSIAŻĘ ALBAŃSKI:

Gdzież był syn jego, gdy go oślepiano?

GONIEC: Pojechał z moją panią.

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Tu go nie ma.

GONIEC: Właściem go spotkał, kiedy stąd powracał.

KSIAŻĘ ALBAŃSKI:

A czy mu znana jest ta niegodziwość?

GONIEC: Tak, miłościwy panie; on to świadczył

Przeciwno niemu i zamku rozmyślnie

Unikał, pragnąc, ażeby ta kara

Tem swobodniejszy miała bieg.

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Glosterze,

Ja żyję poto, by ci wynagrodzić

Tę twą królowi okazaną wierność

I pomścić twoje źrenice. Chodź ze mną,

Mój przyjacielu, i powiedz, co więcej

Jest ci wiadomo.

(wychodzą)

SCENA III.

Obóz francuski w pobliżu Dowru.

(wchodzą KENT i SZLACHCIC)

KENT: Dlaczego król Francji tak nagle wyjechał?
Waszmość znasz przyczynę?

SZLACHCIC: Jakowąś sprawę pozostawił w pań-
stwie niezalutwioną, a przyszła mu na myśl dopiero
tutaj, gdy wylądował; ma ona królestwu jego tak zatrwa-

zającem zagrażać niebezpieczeństwem, że powrót jego osobisty ogromnie był pożądanym i niezbędnym.

KENT: Kogo na miejscu swym zostawił wodzem?

SZLACHCIC: Marszałka Francji, monsieur La Far a.

KENT: Czy listy waszmości nie wywołały u królowej jakiegoś objawu żalu?

SZLACHCIC: I owszem, panie: wzięła i czytała
W mej obecności; od czasu do czasu
Grube łzy ciekły po jej gładkiem licu.
Wydawała się, iż jest królową
Swojego bólu, który w buntowniczym
Chciał być zapędzie jej królem...

KENT: A zatem

Była wburzona.

SZLACHCIC: Nie w kierunku gniewu.
Walczyły z sobą cierpliwość i żalost,
Które z nich wyraz osiągnie najlepszy,
Waszmość widziałeś deszcz i słońce razem;
Łzy i uśmiechy jej podobne były
Do wiosennego dnia; ten uśmiech błogi,
Na jej dojrzałych igrający wargach,
Zdał się nie wiedzieć o tem, co za goście
Bawili w oczach jej, by z nich wychodzić
Jakoby perły, kapiące z diamentów,
Słowem, żal byłby wielce ukochanym,
Rzadkim klejnotem, gdyby tak każdemu
Mógł być do twarzy.

KENT: A czy nie wyrzekła

Żadnego słowa?

SZLACHCIC: Owszem, kilkakrotnie
Wydobywała z siebie wyraz „ojciec“,
A z takim trudem, jak gdyby przygniatał
Ciężko jej serce. Wołała: „O siostry!
Siostry! Ty hańbo białogłów! O Kencie!

Ojczy ty! Siostry! Jakto? Na noc? W burzę?
 Nie wierzcie w litość!!!“ I tu się puściły
 Święte strumienie z jej oczu niebiańskich,
 Głos jej zmieniając w łkanie; i wybiegła,
 By zostać sama z swym bólem.

KENT: To gwiazdy,
 Gwiazdy rządcami stanów naszej duszy,
 Inaczej jedno i to samo stadło
 Nie wydałoby płodów tak odmiennych.
 Waść nie mówiłeś z nią już od tej pory?

SZLACHCIC: Nie

KENT: Czy to było przed odjazdem króla?

SZLACHCIC: Później.

KENT: To dobrze; biedny, schorowany
 Lir bawi w mieście i w chwilach jaśniejszych
 Powiada o tem, poco tu jesteśmy
 I w żaden sposób nie chce widzieć córki.

SZLACHCIC: Dlaczego, panie?

KENT: Wstyd nim tak owaładniał
 I tak go gnębi: ona zatwardziałość,
 Z jaką odmówił jej błogosławieństwa
 I na los szczęścia puścił ją w obczyznę,
 Z jaką należne jej prawa odstąpił
 Tamtym sobaczym dwom córkom: to wszystko
 Tak jadowicie wgryza mu się w serce,
 Iże go pali wstyd i od Kordelji
 Trzyma zdaleka.

SZLACHCIC: Ano, biedny człowiek!

KENT: Słyszałeś waszmość cokolwiek o siłach
 Książąt Albanji i Kornwalji?

SZLACHCIC: Pono

Mają być w marszu.

KENT: Dobrze... Waszmość pana
 Zawiodę teraz do naszego władcy

Lira i twojej powierzę go pieczy:
 Ważne powody każą mi się jeszcze
 Ukrywać chwilę; gdy mnie dobrze poznasz,
 Nie pożałujesz, iżeś mi użyczył
 Swej znajomości... Chciej mi towarzyszyć.
(wychodzą)

SCENA IV.

Tamże.

(wchodzą KORDELJA, LEKARZ, ŻOŁNIERZE)

KORDELJA: To on niestety! Widziano go właśnie
 Szalejącego, jak wzburzone morze,
 Śpiewającego i uwieńczonego
 Chabrem, kaskiem, powojem, łopianem
 I wszelkiem innym niepotrzebnem zielskiem,
 Które w żywiącym rośnie zbożu. Wysłać
 Stu chłopą za nim, przeszukać uważnie
 Każdy pręt bujnie zarośniętej ziemi
 I przywieść mi go przed oczy.

(JEDEN z PORUCZNIKÓW wraz z ŚWITĄ wychodzi)
 Czyż ludzka

Przyda się mądrości, by mu utraczone
 Powrócić zmysły? Ten, kto mu pomoże,
 Wszystkie me skarby otrzyma ode mnie.

LEKARZ: Są nato środki, miłościwa pani;
 Odżywicielem natury najlepszym
 Jest wypoczynek, którego mu braknie,
 Ażeby mu go sprowadzić, są nato
 Przeróżne proste lekarstwa, ich siła
 Przymknie mu jego udęczone oczy.

KORDELJA: Błogosławione wszystkie tajemnice,
 O wy ukryte wszystkie moce ziemi,

Tryśnijcie razem z mojami słozami!
 Bądźcie pomocą i lekiem w niedoli
 Tego dobrego człowieka! Szukajcie,
 Szukajcie-że go, by ten niekielezany
 Szał nie wyniszczył mu życia, któremu
 Zbývá na środkach oparcia.

(*wchodzi* GONIEC)

GONIEC: Łaskawa pani, brytyjskie się wojska
 Zbliżają tutaj.

KORDELJA: Wiedziano już o tem
 I pogotowie nasze czeka na nich. —
 O drogi ojcze! Jam to przedsięwzięła
 Dla twego dobra; dlatego król Francji
 Ulitował się nad moją żalobą
 I memi prośby.

Nie próżna pycha broń naszą wyzywa,
 Lecz miłość, miłość i prawo naszego
 Starego ojca! Obym jak najprędzej
 Mogła go słyszeć i widzieć!

(*wychodzą*)

SCENA V.

Komnata w zamku Glostera.

(*wchodzi* REGANA i OSWALD)

REGANA: Więc wyruszyło wojsku mego brata?

OSWALD: Tak, miłościwa pani...

REGANA: On z niem razem?

OSWALD: Tak, z ciężką biedą. Z siostry księżnej pani
 Lepszy jest żołnierz.

REGANA: Czy mówił lord Edmund
 Z twym panem w domu?

OSWALD: Nie, pani łaskawa!

REGANA: Cóż list mej siostry do niego zawierał?

OSWALD: Nie jest mi, pani, wiadomo.

REGANA: Zapewne,

On stąd wyjechał w ważnym interesie.

Było to wielkiem głupstwem Glosterowi

Po wyłupieniu ócz zestawić życie:

Gdziekolwiek on się zjawi, wszystkie serca

Pobudza przeciw nam. Edmund, tak myślę,

Poszedł, z litości nad jego niedolą

Zakończyć mroczny jego żywot, przytem

Wybadać również siłę wroga.

OSWALD:

Ja muszę za nim pogonić z tym listem.

REGANA: Jutro ruszają nasze wojska: czekaj,
Drogi niepewne.

OSWALD: Nie mogę. Ma pani
Zaleciła mi gorliwość w tej sprawie.

REGANA: Poco jej było pisać do Edmunda?
Nie mógłbyś waćpan załatwić jej zleceń
Ustnie? Być może, coś w tem jest, co, nie wiem.
Bardzo mi będziesz miły, gdy pozwolisz
Odpieczętować to pismo.

OSWALD: Wolałbym,
O miłościwa księżno...

REGANA: Ja wiem o tem,
Że pani twoja nie kocha małżonka;
Jam tego pewna. A za swym ostatnim
Tutaj pobytem dziwnie się mizdrzyła,
Dziwnie znaczące rzucała spojrzenia
Na szlachetnego Edmunda. Wiem o tem,
Żeś powiernikiem jej serca.

OSWALD: Ja, księżno?

REGANA:

Mówię z namysłem, żeś nim jest, wiem o tem;

Dlatego radzę, miejże to na względzie:

Mój mąż nie żyje; myśmy się z Edmundem

Porozumieli i on stosowniejszy

Dla mojej ręki, niż ręki twej pani —

Resztę wywnioskuj sobie sam. Jeżeli

Spotkasz go waćpan, daj mu to; a skoro

Pani się twoja dowie z ust twych o tem,

Poradź jej waćpan, proszę, by raczyła

Przyzwać rozsądek ku sobie. A teraz

Żegnam waszmości.

Gdybyś przypadkiem spotkał się z tym ślepym

Zdrajcą, nagroda dostanie się temu,

Ktoby go sprzątnął.

OSWALD: O, chciałbym go spotkać,

Chciałbym pokazać, miłościwa pani,

Po czyjej stronie jestem.

REGANA: Miej się dobrze!

(wychodzą)

SCENA VI.

Okolice w pobliżu Dowru.

(wchodzą GLOSTER i EDGAR w ubraniu wieśniaczem)

GLOSTER: Kiedyż dojdziemy do szczytu tej góry?

EDGAR: Właśnie wchodzimy. Ano, ciężka praca.

GLOSTER: Wydaje mi się, że to równa ziemia.

EDGAR: Okrutnie stromo. Nie słyszycie morza?

GLOSTER: Nie, ani śladu.

EDGAR: Więc i inne zmysły

Stępią nieszczęście waszych ócz?

GLOSTER: W istocie,
Tak to być może. Zda mi się, że głos twój
Coś się przemienił, że w gładszy się sposób
I rozsądniejszy wyrażasz, niż przedtem.

EDGAR: Bardzo się, panie, mylicie. Odmiana
Jest tylko w stroju, zresztą w niczem innym.

GLOSTER: Wydaje mi się, że mówisz rozumnie,

EDGAR: Chodźcie tu, panie. Tutaj jest to miejsce.
Stójcie!... Jak strasznie, jakżeż to zawrotnie
Rzucąc spojrzenie do takiej głęбини!
Wrony i kawki, krążące w pośrodku,
Widzą się ledwie tak wielkie, jak chrząszcze;
W połowie spadu zawisł jakiś człowiek,
Zbierając morski kopr — groźne rzemiosło!
Wydaje mi się, jakby nie był większy
Od swojej głowy; rybacy, wybrzeżem
Morskiem chodzący, są niby, jak myszy,
A ów ogromny statek na kotwicy
Maleje oto do kształtu swej łódki,
Zaś łódź wygląda raczej na beczułkę,
Niemal ginącą dla ocz. Szumu fali,
Śród niezliczonych szalejącej wirów,
Nie można słyszeć z tej wyży... Nie będę
Spoglądał więcej — mózg mi się zawróci
I w przepaść wzrok mnie strąci zamącony.

GLOSTER: Staw mnie, gdzie stoisz.

EDGAR: Podajcie mi rękę —
Jesteście teraz zaledwie o stopę
Od ostatecznej krawędzi. Na wszystko,
Co pod księżycem, jabym stąd nie skoczył.

GLOSTER: Puść-że mi rękę; masz tu, przyjacielu,
I drugą kieskę, a w niej jest klejnocik
Wart dostatecznie, ażeby go przyjął
Człowiek ubogi. Niechaj ci z nim razem

Przyniosą szczęście czary i bogowie.
Teraz idź dalej, pożegnaj się ze mną
I niech usłyszę, że odchodzisz.

EDGAR: Ano,

Żegnam was zatem, miłościwy panie.

GLOSTER: I ja z całego serca.

EDGAR: *(na stronie)* Stroję żarty

Z jego rozpaczy, by go z niej wyleczyć.

GLOSTER: Moźni bogowie! Wyrzekam się świata

I w waszych oczach cierpliwie otrząsam

Tę wielką z siebie boleść. Gdybym dłużej

Zdołał ją dźwigać i nie popaść w zatarg

Z waszą, oporu nieznoszącą, wolą,

Naówczas starłbym ze swądem ze siebie

Knot mej istoty. Jeśli Edgar żyje,

O, błogosławcie mu! A teraz żegnaj,

Mój przyjacielu!

EDGAR: Już poszedłem, panie.

(Gloster rzuca się do skoku i pada na ziemię)

(na stronie)

Przecież ja nie wiem, czy też wyobraźnia

Nie umie wydrzeć skarbu życia, jeśli

Samo się życie na kradzież wystawia?

Gdyby był teraz tam, gdzie być zamyślał,

Toby już więcej nie myślał tej chwili.

Żyw on czy umarł? Hej-że, przyjacielu!

Słyszycie, panie? Hej-że, hej! Przemówcie!

(na stronie)

Może naprawdę skonał?... Nie, on żyje...

Kto wy jesteście, panie?

GLOSTER: Daj mi umrzeć.

EDGAR: Gdybyś ty nie był pajęczyną, pierzem,

Czy też powiewem, byłbyś się, spadając

W głąb tyle sążni, rozbił niby jajko;

Przecie oddychasz i masz ciężar ciała
Krwia nie ociekasz, przemawiasz, zdrów jesteś.
Jeden na drugim postaw masztów dziesięć,
A nie uczynią takiej wysokości,
Z jakiej zleciałeś z góry na dół; cudem
Jest twoje życie. Przemów-że raz jeszcze.

GLOSTER: Lecz czy ja spadłem, czy też nie?

EDGAR: Z strasznego

Szczytu tej skały wapiennej! O spojrzij
Wgórę: skowronka z przegłośną gardzielią
Nie mógłbyś dostrzec, ni słyszeć... Patrz wgórę!

GLOSTER: Biada! Ja nie mam oczu!
Czyż pozbawiono nędzę dobrodziejstwa,
By koniec w śmierci mogła znaleźć? Jakaś
Było pociechą przecież, jeśli mogła
Niewczesna dola zmylić złość tyrana
I jego dumną udaremnić wolę.

EDGAR: Dajcie mi ramię! Wgórę! Tak! I jakże?
Czujecie nogi? Stoicie?

GLOSTER: Zbyt mocno!
Tak jest, zbyt mocno!

EDGAR: Oto dziw nad dziwy.
Cóż to tam było na szczycie opoki,
Co was odeszło?

GLOSTER: Biedny, nędzny żebrak.

EDGAR: Kiedym tu w dole stał, jego źrenice
Zdawały mi się niby dwa miesiące
W pełni; sto nosów miał i wzdęte rogi,
Niby zbrudzone morze. Był to jakiś
Zły duch, dlatego, ty szczęśliwy ojcze,
Pomyślże sobie, że cię ocaliły
Bóstwa świetlane, szukające sławy
W rzeczach, dla człeka jużci niemożliwych,

GLOSTER: Teraz to widzę sam i będę dźwigał
Moją niedolę, aż zawoła sama:

„Dość, dość, umieraj!“ To, o czem mówiłeś,

Jam miał za człeka; częstokroć on wołał:

„Zły duch! Zły duch to!“ On to mnie tam zawiódł.

EDGAR: Trzeba cierpliwym być i dobrej myśli.
Lecz któż tu idzie?

(wchodzi LIR, fantastycznie przybrany w polne kwiaty)

Nigdy zdrowe zmysły

Tak nie przystroją swego pana.

LIR: Nie mogą mnie pociągać za bicie monety, przecież jestem królem.

EDGAR: *(na stronie)* O rozdzierający serce widoku!

LIR: Natura jest ponad sztuką w tym względzie. Macie tutaj napiwek; ten drab obchodzi się z łukiem, jak z strachem na wrony. Naciągać łokieć krawiecki! — Patrzcie, patrzcie, mysz! Cicho! Cicho! Ten kawałek pieczonego sera to robi. Oto moja rękawica; wypróbuję ją na olbrzymie.... Przynieście berdysze. O, dobrześ poleciał, ptaku!... W sam cel! W sam cel! Hm!... Podaj hasło.

EDGAR: Wonny majeranek.

LIR: Przejdź!

GLOSTER: Znam ten głos!

LIR: Ha! Goneryło! — Z białą brodą! Podlizywali mi się, jak psy; mówili, że białe mam włosy w brodzie, zanim zjawiły się czarne. Mówili „tak“ i „nie“ na wszystko, com ja mówił. „Tak“ i „nie“ to nie była dobra teologia. Kiedy pewnego razu padał deszcz, by mnie zmoczyć, a wiatr nawskroś mnie przeszywał, kiedy grzmot na rozkaz mój uciszyć się nie chciał, wtędym ich poznał, wtędym ich przewąchał. Dajcie im spokój, to nie są ludzie słowa; mówili mi, że jestem wszystkim, to jest kłamstwo: nie jestem odporny na febrę.

GLOSTER: Pamiętam dobrze rodzaj tego głosu.
Czy to nie król jest?

LIR: Tak, król w każdym calu;
Gdy groźnie spojrzę, patrz, jak drżą poddani!
Temu daruję życie... Coś popełnił?
Co? Cudzołóstwo?

Nie umrzesz za to: śmierć za cudzołóstwo?
Nigdy! To samo robi mysikrólik
I mała złota muszka w moich oczach
Parzy się rada.

Niech żyje miłość! Toć bękart Glostera
Był dla rodzica czulszy, niż me córki,
W prawem splodzone łożu.
Pleń się, rozpusto! Trzeba mi żołnierzy!
Patrzcie, ta dama cacana!

Śnieg w mięzykroczu twarzą zapowiada,
Ciačka się z cnotą i odwraca głowę,
Gdy słyszy wyraz: rozkosz,
A przecież żadna łasica, ni żadna
Klacz wypuszczona,

Nie jest w swej chuci tak niepowstrzymana!
To są centaury na dół od połowy,
Chociaż niewiasty od góry:
To, co powyżej pasa, to jest boże,
A co poniżej, to czarcie.

Tutaj jest piekło, tutaj zmrok, tutaj siarka i smoła,
żar i war, smród, zgnilizna — fe! fe! fe! Tfu! Tfu! Daj
miśę piżma, dobry aptekarzu, na ukojenie mojej wy-
obraźni: Tu są pieniądze za to.

GLOSTER: Daj ucałować mi swą rękę.

LIR: Wprzód ją obmyję, trąci śmiertelnością.

GLOSTER: O, ty przyrody zrujnowanej szczątku!
Tak samo kiedyś zużyje się na nic
Ten ogrom świata! Zali mnie poznajesz?

LIR: Przypominam sobie twe oczy dość dobrze. Mrugasz na mnie? Nie! Czyń co najgorszego, ślepy Kupidynie, ja kochać nie chcę. Przeczytajże to wyzwanie, tylko zważaj na charakter pisma.

GLOSTER: Choćby słońcami były wszystkie głoski, Nie zobaczyłbym ani jednej.

EDGAR: (*na stronie*) Nigdy
Nie chciałem wierzyć, gdy mi to mówiono,
Przecież to prawda i serce mi pęka.

LIR: Czytaj!

GLOSTER: Czem? Oczodołami?

LIR: Oho! Tak to jesteś waćpan ze mną? Bez oczu w głowie, bez grosza w worku. Ciężko ci z pustymi oczodołami, lekko z pustym workiem? Ale waćpan teraz widzisz, jaki to bieg świata.

GLOSTER: Widzę to, czując.

LIR: Co? Oszalałeś? Człowiek może widzieć bieg świata bez oczu. Patrz uszyma; patrz, jak sam sędzia jeździ po tym głupkowskim złodzieju. Słuchaj, powiem ci na ucho: zmień miejsce i zgadnij, w której ręce? Kto sędzia, kto złodziej? — Widziałeś, jak pies arendarza ujada na żebraka?

GLOSTER: Tak, panie.

LIR: I biedaszysko umknął przed kundlem? Mogłeś tutaj widzieć wielki obraz władzy: słucha się psa na urzędzie.

Pacholku nędzny, precz z tą ręką krwawą!
Za co ty chłoscujesz kurwę? Swój grzbiet obnaż!
Masz poządliwość zadać się z nią w sprawę,
Za którą dajesz jej baty. To lichwiarz
Wiesza oszusta. Zdarty płaszcz odsłania
Małe przywary, zaś togi i szuby
Skrrywają wszystko. Powleczone grzech złotem,
A w tym momencie pryśnie twarda włócznia

Sprawiedliwości. Uzbrój go w lachmany,
 A karzeł słomką przeszyć go potrafi.
 Nikt nie jest winien, mówię, nikt, zaręczam,
 Jeżeli umie — przyjmij to ode mnie,
 Mój towarzyszu — założyć pieczęcie
 Oskarżycielom na usta. Idź, szklane
 Spraw sobie oczy i potem udawaj,
 Jak to parszywi czynią politycy,
 Że widzisz rzeczy, chociaż ich nie widzisz.
 A teraz, teraz, ano teraz, teraz —
 Ściągnąć mi buty! Mocniej! Mocniej! Dobrze.

EDGAR: (*na stronie*) Ta mieszanina sensu i bezsensu!
 Rozum w szaleństwie!

LIR: Jeśli chcesz płakać nad moją niedolą,
 Bierz moje oczy. Znam cię dostatecznie:
 Twe imię Gloster, musisz być cierpliwy,
 Myśmy tu przyszli wrzeszczący — wiesz o tem,
 Że poraz pierwszy wciągając powietrze,
 Czynim to z płaczem i krzykiem. Kazanie
 Powiedzieć chcę ci — a tylko uważaj!

GLOSTER: Ten dzień! O biada! Biada!

LIR: Rodząc się, krzyczym, że oto wchodzimy
 Na wielką scenę tę błaznów. To dobry
 Pomysł, subtelny fortel: stado koni
 Dać podkuć pilśnią — Muszę to spróbować,
 A gdy w ten sposób podejdem mych zięciów,
 To wtedy morduj! Morduj! Morduj! Morduj!

(*wchodzi SZLACHCIC i ŚWITA*)

SZLACHCIC: O, tu go mamy; trzymajcie go!... Panie,
 Twoja najdroższa córka...

LIR: Niema odsieczy? Co? W niewoli? Jesteś
 Prawdziwym błaznem losu. A gorliwie
 Obejść się ze mną! Dostaniecie okup!
 Dać mi chirurga! W mózg-ci jestem cięty.

SZLACHCIC: Będziecie, panie, mieć wszystko.

LIR: Sam jeden?

Żadnej pomocy? Człek mógłby się zmienić
W źródło łez słonych, oczu swych używać,
Jak ogrodowych konwi, do zlewania
Kurzów jesiennych.

SZLACHCIC: Miłościwy panie —

LIR: Walecznie umrę, jak strojny pan młody.
Co? Będę wesół? Tu! tu! Jestem królem;
Mości panowie, wiecie to?

SZLACHCIC: Tak, jesteś królem i my cię słuchamy.

LIR: Więc da się żyć tu! Tak, jeśli macie tu pozostać, to musicie gonić. Hasa! Hasa!

(wychodzi, za nim ŚWITA)

SZLACHCIC: Największy nędzarz litościąby obudził
Takim widokiem, cóż mówić o królu!
Masz jeszcze córkę, która przyrodzenie
Zbawi od klątwy, jaką tamte drugie
Ściągnęły na sie.

EDGAR: Cześć, jasny panie

SZLACHCIC: Mówże aspan prędzej!

Czego tu pragniesz?

EDGAR: Słyszeliście, panie,
O bliskiej bitwie?

SZLACHCIC: Rzecz powszechnie znana,
Każdy to słyszał, kto umie rozróżniać.
Głosy.

EDGAR: Zapewne; ale, proszę łaski,
Czy blisko drugie jest wojsko?

SZLACHCIC:

Blisko i śpiesznym mknie krokiem; część główna
Może tu stanąć za jaką godzinę.

EDGAR: Dziękuję, panie; to wszystko.

SZLACHCIC: Choć tutaj
Bawi królowa z szczególnej przyczyny,
Ruszyło naprzód jej wojsko.

EDGAR: Dziękuję.
(SZLACHCIC *wychodzi*)

GLOSTER: O nieprzebrani w dobroci bogowie,
Weźcie me życie, by zły duch mnie znowu
Nie skusił kończyć, nim wam się spodoba.

EDGAR: Dobrze się modlisz, ojcze!

GLOSTER: Coś za jeden,
Zacny mój panie?

EDGAR: Bardzo biedny człowiek,
Który już przywykł do ciosów fortuny
I sam, przeszedłszy szkołę trosk i cierpień,
Stał się przystępny miłosierdziu. Panie,
Podajcie rękę, chcę was do jakiego
Powieść schroniska.

GLOSTER: Dziękuję serdecznie.
Z błogosławieństwa i dobroci niebios
Niechajże splywa na ciebie pomyślność
Za pomyślnością.

(*wchodzi* OSWALD)

OSWALD: Zdobyta nagroda!
Jakże szczęśliwie! Twa głowa bez oczu
Stała się pierwszym ciałem, aby moje
Ustalić losy! Nieznośny ty zdrajco,
Zrób obrachunek ze sobą! Dobyty
Miecz, co cię zgładzi.

GLOSTER: Twoja dłoń przyjazna
Oby znalazła dosyć siły nato!

(*Edgar staje pomiędzy nimi*)

OSWALD: Bezczelny chłopie, myślisz dopomagać
Jawnemu zdrajcy? Precz stąd, bo inaczej

Zaraza jego losu tknie i ciebie!
Puść jego ramię!

EDGAR: Niechże dobre panisko idom swojom drogom i nie przeszkadzajom bidnemu norodowi. Kieby jo tak bez byle co miał tracić życie, tobym go juz ni miał od jakich dwu niedziel. Nie, wicie! Nie zbliżojcie sie do starego cłowieka, idźcie, mówie wom, bo jak nie, to popróbujem, co twordse: mój kosturek, cy waso lepeta! Mówie wom bez ogródki.

OSWALD: Precz, gnojku!

EDGAR: Wybije wom zemby, panocku; was spikulec to dło mnie jest nic, panocku.

(walczą — Edgar powala go palką)

OSWALD: Zamordowałeś mnie, pacholku! Masz tu Łotrze, mą kiesę! Chcesz, by ci się wiodło, Pogrzeb me ciało i wręcz Edmundowi Hrabiemu Gloster listy, które znajdziesz Przy mnie — w angielskiem poszukaj go wojsku. O, ty niewczesna śmierci!

(umiera)

EDGAR: Znam cię dobrze:
Szujo służalczy! Występkom swej pani
Byleś uległy tak, jak tego mogła
Żądać nikczemność.

GLOSTER: Cóżto? On nie żyje?

EDGAR: Usiądźcie, ojczel! Wypoczniście sobie.

(cicho)

Trzeba przetrząsnąć kieszenie; te listy,
O których mówi, mogą przyjacielską
Dać mi usługę. *(głośno)* Umarł, szkoda tylko,
Że go kto inny nie zabił. Zobaczym:
Pozwól, cny worku, a wy, obyczaje,
Nie przyganiajcie! Człekby rozdarł serce

Swych nieprzyjaciół, by poznać ich myśli,
A cóż otworzyć ich listy — to przecież
Bardziej uchodzi.

(czyta)

„Pamiętajmy o wzajemnych przysięgach. Niejedną masz waćpan sposobność, by go usunąć; jeżeli nie brak ci woli, czas i miejsce doskonale się nadarza. Nic z tego nie będzie, jeżeli wróci zwyciężcą; ja zostanę wówczas niewolnicą, a łoże jego będzie mojem więzieniem, przeto uwolnij mnie od jego ciepła wstrętnego i za trud swój zajmij jego miejsce. Twoja żona — takbym chciała powiedzieć — i twoja sługa powolna Goneryla.“

O, niepojęty zakresie niewieściej
Woli! Na męża cnotliwego spisek,
A na zamianę brat mój! O, bezbożny
Pośle morderczych lubieżników! Tutaj
Ja cię pogrzebię w tych piachach i w porę
Stawię ten papier ohydny przed oczy
Księcia, któremu grozi śmierć; dla niego
Dobrze, iż będę mógł go powiadomić
O jego śmierci i całej tej sprawie.

GLOSTER: Król mój oszalał! Jak silne me zmysły,
Że jeszcze stoję i czuję wyraźnie
Ogrom mej troski. Byłoby mi lepiej,
Gdybym miał obłąd, wówczas myśli moje
Rozerwałyby związek z mą katuszą
I ból mój, dzięki chorej wyobraźni,
Straciłby swoją świadomość.

EDGAR: Daj rękę.

(woddali odgłos tarabanów)

Zda mi się, zdala słyszę bicie w bęben,
Chodźcie, zawiodę was w dom przyjaciela.

(wychodzą)

SCENA VII.

*Obóz francuski.**(wchodzi KORDELJA i KENT)*

KORDELJA:

O dobry Kencie, jak mam żyć i działać,
 Aby dorównać twej dobroci? Nazbyt
 Krótkie me życie i wszelaka miara
 Niedostateczna.

KENT: Takie uznanie, miłościwa pani,
 Jest już zapłatą; wszystko, com powiedział,
 Szczerą jest prawdą — nic nie przesadziłem;
 Tyle, nic więcej.

KORDELJA: Ubierz-że się lepiej;
 Ten strój wspomnieniem jest najgorszych godzin,
 Proszę cię, zrzuc go.

KENT: Wybacz, droga pani;
 Dać się dziś poznać byłoby przeszkodą
 Dla mych zamiarów. Wyświadczy-że mi łaskę
 I nie chciej znać mnie, póki czas i moja
 Myśl nie powiedzą-ć, że można.

KORDELJA: Niechże będzie, panie!

*(wchodzi LEKARZ i SŁUŻBA)**(do lekarza)* Jakże król się miewa?

LEKARZ: Pani! Śpi ciągle!

KORDELJA: O dobrzy bogowie!
 Uleczcie szczyby w zniszczonej naturze;
 Ojca, co dzieckiem stał się, rozstrojone
 Zwaśnione zmysły pogódźcie!

LEKARZ: Może królewska wasza mość pozwoli
 Obudzić króla, który spał już dosyć.

KORDELJA: Czyń według swego uznania, jak każe
Twoja ci wola. Czy on jest ubrany?

SZLACHCIC: Tak, myśmy pani, kiedy spał głęboko,
W świeżą go odzież odziali.

LEKARZ: Pozostań, pani, aż go nie zbudzimy.
Nie wątpię, wstanie spokojny.

KORDELJA: To dobrze.
(*cicha muzyka*)

LEKARZ:

Proszę przyjść bliżej — A grać trochę głośniej.
(*wnoszą LIRA na krzesła*)

KORDELJA: O drogi ojcze! Oby od ust moich
Zawisło twoje uzdrowienie, oby
Mój pocałunek uśmierzył katusze,
Które me siostry zadały czcigodnej
Twojej starości!

KENT: Miła, droga księżno!

KORDELJA: Choćby on nie był ojcem, włos ten biały
Winien był wzbudzić litość! Nato twarz ta,
By ją wystawiać na zapasy wichrów,
Na przenikliwe bełty głuchych grzmotów,
Na te straszliwe, szybkie krzyżowania
Skrzystych błyskawic, ażebyś w tym wiotkim
Czuwał szyszaku, ty biedny straceńcze?!
Pies mego wroga choćby mnie pokąsał,
Ległby w noc taką przy mojem ognisku,
A tyś poprzestać musiał, biedny ojcze,
Na jakimś chlewku wśród świń i wółczogów,
Na garści zgniłej słomy! Biada! Biada!
Dziw, że twe życie nie odeszło razem
Z twemi zmysłami! Nie śpi!... Mów do niego!

LEKARZ: Przemów ty, pani, to będzie stosowniej.

KORDELJA: Jakże się miewa pan mój miłościwy?
Jakże się czuje wasza mość królewska?

LIR: Wy mnie krzywdzicie, dobywając z grobu.
Zbawioną duszą, zato ja przywiązany
Do ognistego koła, które łzami,
Jak roztopionym polewam ołowiem.

KORDELJA: Czy poznajecie mnie, panie?

LIR: Tyś duchem,

Wiem o tem dobrze! A kiedy umarłeś?

KORDELJA: Wciąż nieprzytomny, wciąż!

LEKARZ: Ledwie się budzi,

Trzeba zostawić go chwilę.

LIR: Gdzie byłem?

Gdzie jestem teraz? Dzień-że to jest biały?
Strasznie mnie zwodzą! Umarłbym z litości,
Gdybym w tym stanie widział innych. Nie wiem,
Co mam powiedzieć. Czy to ręce moje,
Na to przysięgnąć nie mogę; zobaczymy:
Czuję to szpilką ułtucie. Bodajbym
Miał pewność stanu swojego!

KORDELJA: O panie,

Spojrzyjcie na mnie i podnieście ręce,
Pobłogosławcie!... O nie! Nie wypada,
Ażebyś klęczał!

LIR: Proszę, nie drwij ze mnie!

Jam niedołężny, zdziecinniały starzec —
Lat ośmdziesiąt zgóra, ni godziny
Mniej ani więcej,
I, mówiąc prawdę, lękam się, czy jestem
Przy zdrowych zmysłach. Zda mi się, że znam cię,
Że znam i tego człowieka, a jednak
Wątpię, bo całkiem jestem nieświadomy,
Co to za miejsce, i wszystek mój umysł
Nie może sobie przypomnieć tych sukien.
Tak samo nie wiem, gdzie spałem tej nocy.
Nie śmiać się ze mnie, bo, jak jestem człowiek,

Wydaje mi się, że oto ta pani
Jest mojem dzieckiem, Kordelją.

KORDELJA: I jestem,
Jestem!

LIR: Wilgotneż są twe łzy? Naprawdę!
Proszę cię, nie płacz! Masz truciznę dla mnie,
To ją wypiję! Wiem, że mnie nie kochasz,
Gdyż twoje siostry, o ile pamiętam,
Wyrządziły mi krzywdę: ty masz powód,
One nie miały.

KORDELJA: Żadnego powodu!

LIR: Jestem we Francji?

KORDELJA: W swem własnem królestwie.

LIR: Nie oszukuj mnie.

LEKARZ: Miłościwa pani,
Pociesz się: widzisz, to wielkie szaleństwo
Już w nim zabite, lecz teraz byłoby
Niebezpieczeństwem objaśniać mu przeszłość.
Polećcie iść mu do wnętrza, nie trzeba
Już mu przeszkadzać, póki się nie skrzepi.

KORDELJA:

Czy raczy wasza wysokość pójść z nami?

LIR: Trzeba mieć ze mną cierpliwość.
Proszę, wybaczcie teraz, zapomnijcie,
Boć jestem stary, zdziecinniały człowiek.

(wychodzą z wyjątkiem Kenta i Szlachcica)

SZLACHCIC: Czy to prawda, panie, że ksiązę Korn-
walji został w ten sposób zabity?

KENT: Najpewniej, panie.

SZLACHCIC: A któż dowodzi jego wojskami?

KENT: Mówią, że bękart Glostera.

SZLACHCIC: Ponoć Edgar, ten jego syn wywołany,
bawi z hrabią Kentem w Niemczech.

KENT: Rozmaite są wieści. Czas się obejrzeć, gdyż wojska królewskie szybko zbliżają się ku nam.

SZLACHCIC: Rozstrzygnięcie zapewne będzie krwawe. Żegnajcie, łaskawy panie.

(wychodzi)

KENT: Źle czy też dobrze pójdą losy moje, Sprawi to obrót, jaki wezmą boje.

(wychodzi)

AKT PIĄTY.

SCENA I.

*Obóz wojsk brytyjskich w pobliżu
Dowru.*

*(przy biciu w bębny i z chorągwiemi wchodzi EDMUND,
REGANA, SZLACHTA i WOJSKO)*

EDMUND: *(do jednego z szlachty, który też odchodzi)*
Zapytać księcia, czy trwa przy ostatnim
Swoim zamiarze, lub czy coś go nagli
Zmienić swe plany; pelen jest sprzeczności
I wciąż się waha. Przynieść nam wiadomość
O jego woli stanowczej,

REGANA: Zapewne
Człowieka naszej siostry śnać spotkało
Coś niemiłego.

EDMUND: Ani wątpić, pani.

REGANA: Miły mój panie, waszmość znasz tę dobroć,
Jaką obdarzam ciebie, przeto powiedz —
Lecz tylko prawdę, mów mi tylko prawdę:
Kochasz mą siostrę?

EDMUND: Miłością przystojną.

REGANA: A nie znalazłeś waszmość nigdy drogi
Mojego szwagra do miejsca dla ciebie
Zakazanego?

EDMUND: Myśl to niewłaściwa.

REGANA: Ja się obawiam, że jesteś z nią w związkach
I tej ścisłości, jaka li być może.

EDMUND: Nie! Na mój honor, miłościwa pani.

REGANA: Nigdybym tego nie zniosła, milordzie;
Nie bądź z nią, proszę, poufały.

EDMUND: Pani,

Nie bój się o mnie. Ale oto ona
Wraz z księciem, swoim małżonkiem.

(*wchodzą przy biciu w bębny i z chorągwiami* KSIĄŻĘ
ALBAŃSKI, GONERYLA i ŻOŁNIERZE)

GONERYLA: (*na stronie*)

Raczej tę bitwę przegrałbym wołała,
Niżby mnie siostra miała z nim rozłączyć.

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI: Umiłowana nasza siostró, witam.

Do córki, słyszę, przybył król jegomość
Razem z innymi, których przynagliła
Do skarg stanowczość naszych rządów. Nigdy
Nie był waleczny, gdziebym uczciwością
Rządzić się nie mógł. Co zaś do tej sprawy,
Tom oręż podniósł przeciwko Francuzom,
Bo naszli kraj nasz, a nie z tej przyczyny,
Że pomagają królowi i innym,
Którym przeciwko nam — tego się boję —
Chyba że słuszny każe ruszać powód.

EDMUND: Szlachetnie mówi wasza miłość.

REGANA: POCO

To rozstrząsanie?

GONERYLA: Połączmy się razem
Przeciw wrogowi, o te osobiste
Spory domowe nie dziś się nam pytać.

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI:

Trzeba się starych poradzić żołnierzy,
Jak postępować.

EDMUND: Zjawię się natychmiast
W namiocie waszych wysokości.

REGANA: Siostró,
Czy pójdziesz z nami?

GONERYLA: Nie.

REGANA: Jednak wypada;
Proszę, chodź z nami.

GONERYLA: *(na stronie)*
Oho, znam zagadkę.
(głośno)

Pójdę.

(podczas tego wchodzi EDGAR w przebraniu)

EDGAR: Jeżeli kiedy wasza miłość
Mówiła z człkiem tak biednym, słoweczka
Raczej wysłuchać.

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI: Dogonię was. Mówcie!
(wychodzą z wyjątkiem księcia Albańskiego i Edgara)

EDGAR: Nim rozpoczniecie walkę, przeczytajcie
List ten. Odniósłszy zwycięstwo, rozkażcie
Przywołać surmą człeka, co go przyniósł.
Wyglądam licho, przecież zapaśnika
Przywieść tu mogę, który stwierdzić zdoła,
Co tu podano. Jeżeli przegracie,
Sprawy się wasze skończą na tym świecie
I spiskowanie zmilknie. Szczęście z wami!

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI: Czekał, aż list ten przeczytam.

EDGAR: Mam zakaz.

Gdy przyjdzie pora, niech zawita herold,
A ja się zjawię zpowrotem.

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI:

A zatem bywaj! Ja przejrzę twój papier.

(EDGAR wychodzi — wraca EDMUND)

EDMUND: Wróg już na oczach, ściągnijcie swe wojsko,
Oto jest wykaz jego sił rzetelnych

Według dokładnych wywiadów, wasz pośpiech
Jest tu konieczny.

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI: Nie stracimy czasu,
(*wychodzi*)

EDMUND: Obu tym siostróm zaprzysięgłem miłość;
Jedna nie ufa drugiej, tak jak żmii
Nie ufa człowiek, przez nią pokąsany.
Którą z nich wziąć mam? Obie, czy też jedną,
Albo też żadnej? Żadna z nich nie moja,
Jeżeli obie zostaną przy życiu.
Gdy wezmę wdowę, rozjątrzę, do szału
Przywiędę siostrę Gonerylę, z trudem
Osiągnę cel swój, jeśli jej małżonek
Żyć będzie dalej. Trzeba jego pleców
Użyć w tej bitwie, a gdy to się skończy,
Niechże pragnąca go się pozbyć myśli,
Jakby go sprzątnąć prędko. Co się tyczy
Ułaskawienia Lira i Kordelji,
Które jest w jego zamiarze — gdy tylko
Skończona będzie bitwa, a ci w naszą
Moc się dostaną, nigdy się pardonu
Nie doczekają! W położeniu mojem
Nie zastanawiać się, lecz iść przebojem.
(*wychodzi*)

SCENA II.

Pole pomiędzy dwoma obozami.

(*wchodzą EDGAR i GLOSTER*)

EDGAR: Niechże wam, ojczy, użyczy gościny
Cień tego drzewa; módlcie się, by prawo
Mogło zwyciężyć: zasię kiedy wrócę,
Przyniosę dla was pociechę,

GLOSTER: Bóg z wami.

(EDGAR *wychodzi* — *wrzawa wojenna i odwrót* — *wraca*
EDGAR)

EDGAR: Uchodźmy, starcze! Daj rękę, uchodźmy!
Lir przegrał bitwę; on i jego córka
Wzięci! Daj rękę, idźmy!

GLOSTER: Ni kroku dalej, i tutaj zgnić można.

EDGAR: Znów czarne myśli? Ludzie znosić muszą
Odejdźcie swoje, jak i przyjdzie. W wszystkim
Bądźmy dojrzałi... Idźmy.

GLOSTER: I to prawda.
(*wychodzą*)

SCENA III.

Obóz brytyjski w pobliżu Dowru.

(*wchodzą*: EDMUND *przy biciu w bębny i z sztandarami, jako zwycięzca*; LIR i KORDELJA, *jako jeńcy*;
PORUCZNIK, ŻOŁNIERZE)

EDMUND: Niech ich zabierze kilku poruczników —
A straż dać dobrą, póki nie oznajmią
Przedniejszej woli swojej ci, co mają
Prawo ich sądzić.

KORDELJA: Nie jesteśmy pierwsi,
Co, przy najlepszych zamiarach, w najgorszą
Popadli dołą. Przygnębiona jestem
Tobą, nieszczęsny królu; w innym razie
Czołobym wszelkiej stawiła fortunie.
Nie zobaczymyż tych dwóch sióstr, tych córek?

LIR: Nie! Nie! Nie! Nie! Nie! Pójdźmy do więzienia,
Będziem tam sobie śpiewali oboje,
Jak ptaki w klatce. Gdy mnie ty poprosisz,
Abym ci swoje dał błogosławieństwo,

Ja klękę wówczas i prosić cię będę
O przebaczenie. Tak to żyć będziemy,
Modlić się, śpiewać, stare opowiadać
Bajki i śmiać się do złotych motyli
I nowin dworskich słuchać z ust prostaczków,
Kto tam wygrywa, kto traci, kto w łasce,
A kto z niej wypadł; będziemy zgłębiali
Tajniki świata, niby powiernicy
Samego Boga. W ten sposób przetrwamy
W ścianach więzienia spiski i zatargi
Jaśnie wielmożnych, którzy się zmieniają
Razem z księżycem, jak przyływ i odpływ.

EDMUND: Brać ich!

LIR: Na takie ofiary, Kordeljo,
Jak my, bogowie sypią swe kadzidła,
Czy ja mam ciebie? Kto chce nas rozdzielić,
Ten chyba musi głównie przynieść z nieba,
By nas podkurzyć, jak lisy. O, nie płacz!
Niechże zaraza prędzej im roztoczy
Ciało i skórę, nim nas doprowadzą
Do łez!... Niech wprzód pomarnieją!... Chodźmy.

(LIR i KORDELJA odchodzą pod strażą)

EDMUND: Tu, kapitanie, posłuchaj:
Weź to (*daje mu pismo*) i pospiesz za nimi do kaźni,
Już cię o jeden posunąłem stopień;
Jeśli postąpisz według tych wskazówek,
Będziesz miał drogę do świetnego losu.
Wiedz to, że człowiek jest, jak czas: mieczowi
Tkliwość bynajmniej nie przystoi. Wielkie
Zadanie twoje pytań tu nie znosi.
Albo mi powiedz, że chcesz to uczynić,
Lub szukać szczęścia na inne sposoby.

KAPITAN: Uczynię, panie.

EDMUND: Zabierz się do dzieła!
Pisz się szczęśliwym, jeśli to wykonasz.
Zważaj — natychmiast! powiadam, a postąp,
Jak napisałem ci tutaj.

(KAPITAN *wychodzi*)

(*trąby — wchodzi* KSIĄŻĘ ALBAŃSKI, GONERYLA,
REGANA, PORUCZNICZY, ŚWITA)

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI:

Daleś dziś waszmość świetny dowód męstwa
I szczęście wielce-ć sprzyjało. W twych ręku
Są ci, co byli naszymi w tej walce
Przeciwnikami. Żądamy ich od was,
Aby postąpić z nimi, jak nam każe
Zarówno nasze, panie, bezpieczeństwo
Jak ich zasługi.

EDMUND: Uważałem, panie,
Za rzecz stosowną umieścić starego,
Nieszczęśliwego króla pod zamknięciem
I pewną strażą, jego bowiem lata,
A jeszcze bardziej tytuł mają w sobie
Tyle uroku, że mogą ku niemu
Serce narodu zwrócić, a przeciwko
Żrenicom naszym zwerbowane lance,
Którymi one kierować powinny.
Z nim i królowę posłałem, tę samą
Mając przyczynę. Gotowi są oni,
Aby się jutro lub też później stawić
W miejscu, gdzie zechce wasza miłość odbyć
Swe posiedzenie. Teraz oczekamy
I krwią i potem, druh utracił druha
I najlepszemu wynikowi bitwy
Klnie w swej gorączce każdy, który odczuł
Srogie jej skutki na sobie. Kordelji

Oraz jej ojca sprawa sposobniejszej
Wymaga pory.

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Cierpliwości, panie,
Za poddanego ja was mam tej chwili,
A nie za brata.

REGANA: To zależy jeszcze,
Czem my zaszczycić go chcemy. Zda mi się,
Że trzeba było wprzódę się ku naszej
Skierować woli, zanim to się rzekło.
On naszym siłom dowodził, osobę
On zastępował moją i mą godność
I na podstawie takich ścisłych związków
Może się ku nam wznieść i nazwać bratem.

GONERYLA: Nie tak gorąco: jego własna wartość
Stawia go wyżej, niż twe wywyższania.

REGANA: Przeze mnie w moje wprowadzony prawa,
On dorównuje najlepszym.

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: A zwłaszcza,
Jeśliby został małżonkiem jejmości.

REGANA: Szyderstwo nieraz staje się prorokiem.

GONERYLA: Hola-że, hola! Oko tak patrzące,
Patrzało zezem.

REGANA: Nie czuję się dobrze,
Inaczej jabym wylała na jejmość
Całą żółć z wnętrza. Zabierz, generale,
Moich żołnierzy, jeńców, ojcowiznę,
Rozrządzaj nimi i mną! Wszystko twoje!
Świadkiem niech będzie świat, że cię mianuję
Moim małżonkiem i panem.

GONERYLA: Chcesz jejmość
Z nim się połączyć?

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Przeszkodzenie temu
Nie jest zawisłe od twych dobrych chęci.

EDMUND: Ani od twoich, książę!

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Tak, pokurczu!

REGANA: *(do Edmunda)*

Rozkaż bić w bębny i potwierdź, że moje
Prawa są twemi.

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Zaczekać! Wysłuchać
Jednego słowa. Aresztuję ciebie
Za zdradę stanu, Edmundzie, a razem
Z tobą *(wskazując na Gonerylę)* tę zmiję pozłożoną. Co zaś
Do twych zamiarów, nadobna ma siostró,
Kładę im tamę w imieniu mej żony:
Była wprzód temu zaręczona panu,
Więc ja się muszę, jako jej małżonek,
Sprzeciwić waszym zapowiedziom. Jeśli
Pragniesz zameżcia, zwróć ku mnie swą miłość,
Ta oto pani już jest zamówiona.

GONERYLA: Jest interludium!

KSIAŻĘ ALBAŃSKI:

Masz, panie Gloster, oręż... Niech zagrają
Surmy! Jeżeli nikt tu się nie zjawi,
Ażeby dowieść na twojej osobie
Jawnej, ohydnej, rozmaitej zdrady,
Oto mój zakład

(rzuca mu rękawicę) Ja ci udowodnię
Na twojem sercu, zanim tknę się chleba,
Żeś jest tem wszystkim, za co cię ogłaszam.

REGANA: Chora-m, o chora!

GONERYLA: *(na stronie)* Gdyby tak nie było,
Juścibym żadnym nie wierzyła lekom.

EDMUND: Oto nawzajem mój zakład.

(rzuca rękawicę) Kimkolwiek
Jest ten na świecie, co mnie zdrajcą zowie,
Łże, jak szubrawiec. Niech zagrzmia tve trąby!

Kto się odważy stanąć, przeciw temu,
Przeciwko tobie, przeciw komukolwiek
Pragnę obronić cześć mą i mą sławę.

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Heroldzie! Hejże!

EDMUND: Heroldzie! Heroldzie!

KSIAŻĘ ALBAŃSKI:

Licz ty na własne siły: wojska twoje,
W mem zwerbowane imieniu, zostały
W mojem imieniu zwolnione.

REGANA: Choroba

Moja się wzmaga.

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Czuje się niedobrze —
Zaprowadźcie ją do mego namiotu!

(wyprowadzają REGANĘ)

(wchodzi HEROLD)

Zbliż się, Heroldzie! Niech zagrają trąby!
Przeczytaj pismo.

PORUCZNIK: Trąbić! *(odgłos trąby)*

HEROLD: *(czyta)* „Jeżeli jaki mąż ze stanowiskiem
lub stopniem wojskowym zechce podtrzymać przeciw
Edmundowi, domniemanemu hrabiemu Gloster, że jest
wielokrotnym zdrajcą, niech wystąpi za trzecim od-
głosem trąby: On śmiało stoi przy swej obronie.“

EDMUND: Trąbić!

(pierwszy odgłos trąb)

HEROLD: Jeszcze —

(drugi odgłos trąb)

Jeszcze —

*(trzeci odgłos trąb — trąba odpowiada z poza sceny —
wchodzi EDGAR w zbroń, przed nim TRĘBACZ)*

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Pytać o jego zamiary i czemu
Jawi się tutaj na wezwanie trąby?

HEROLD: Kto waszmość jesteś? Jakie twoje miano?
 Jakiego stanu i przez odpowiedziasz
 Na ten głos trąby?

EDGAR: Miano me stracone,
 Zgryzł je ząb zdrady, stoczył rak ohydy;
 Alem szlachetnej krwi, jak ten przeciwnik,
 Którego wyzwać przychodzę.

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: A kto jest
 Twym przeciwnikiem?

EDGAR: Któż tu za Edmunda
 Hrabiego Gloster staje?

EDMUND: Sam za siebie.
 I cóż ty powiesz jemu?

EDGAR: Dobądź miecza,
 Aby, jeżeli serce me ukrzywdzi
 Szlachetne serce, mogło ci tve ramię
 Wymierzyć wszelką sprawiedliwość. Tutaj
 Masz oto moje! A ten jest przywilej
 Mego honoru, stanu i przysięgi:
 Oświadczam mimo twą siłę, twą młodość,
 Twe stanowisko i znaczenie, mimo
 Zwycięski miecz twój i tve szczęście świeże,
 Twoją odwagę i męstwo, że jesteś
 Zdrajcą, fałszywym wobec bogów swoich,
 Brata i ojca, że knowałeś spiski
 Przeciwko temu dostojnemu księciu,
 Że, jednym słowem, wskroś, od czubka głowy
 Do ostatniego pyłka na kończynach
 Pięt, jesteś zdrajcą, wstrętnym, jak ropucha.
 Jeżeli powiesz „nie“, ten miecz, to ramię,
 Wszystkie me władze gotowe są dowieść
 Na twojem sercu, że, przecząc mym słowom,
 Kłamiesz.

EDMUND: Właściwie winienem się spytać
 O twoje nazwisko, ale, że z postawy
 Tak jesteś piękny, i tak wojowniczy,
 I że z twej mowy wieje duch szlachetny,
 Przeto z pogardą wyrzekam się tego,
 Przyczem, działając ostrożnie i pewnie,
 Mógłbym obstawać według praw rycerskich.
 W twoją ci głowę ciskam zarzut zdrady,
 Który mnie ledwie dotknął, a któremu
 Miecz mój natychmiast utoruje drogę,
 Gdzie już na wieki legnie... Grajcie, surmy!

(odgłos trąb — walczą — Edmund pada na ziemię)

GONERYLA: Ratuj go! Ratuj! To podstęp, Glosterze!
 Według rycerskich praw nie jesteś wcale
 Zobowiązany stawać nieznanemu
 Przeciwnikowi: nie jesteś zwyciężon,
 Tylko oszukan, uwiedzion.

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Stul głowę,
 Bo ci ją zatkam tem pismem!...

(pokazując list Edmundowi)

Patrz waszmość!

(do Goneryli)

Ty, ohydniejsza nad wyraz, przeczytaj
 Swoją nikkczemność... A tylko nie podrzej!
 Jejmość to, widzę, zna dobrze.

(oddaje pismo Edmundowi)

GONERYLA: A gdyby?
 Prawo jest przy mnie, nie przy tobie! Któż tu
 Może mnie za to pozywać?

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Potworze!
 Więc znasz ten papier?!

GONERYLA: Co ja znam, nie pytaj!
(wychodzi)

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: *(do jednego z poruczników)*
 Idź waszmość za nią; miej na nią baczenie,
 Jest zrozpaczona.

EDMUND: O co mnie oskarżasz,
 Tom ja uczynił i więcej, o więcej!
 Czas to wyjawi. Wszystko przeminęło
 I jam przeminął. Ale kim waść jesteś,
 Coś moim losem owładnął? Jeżeliś
 Ze szlchetnego domu, ja-ć przebaczam.

EDGAR: Zamieńmy litość. Co do krwi, nie jestem
 Lichszy od ciebie, Edmundzie, a jeśli
 Jestem czemś więcej, tem więcej mnieś skrzywdził.
 Imię me Edgar, syn ja twego ojca.
 Sprawiedliwemi są bóstwa i z naszych
 Słodkich występków stwarzają narzędzia,
 Które nas chłoszczą.
 Ciemne, występne miejsce, gdzie cię spłodził,
 Pozbawiło go oczu.

EDMUND: Słusznie rzekłeś:
 Tak, to jest prawda; koło całkowicie
 Odbyło bieg swój. I oto tu jestem.

KSIAŻĘ ALBAŃSKI:
 Już mi sam chód twój śnać królewski wróżył
 Szlachectwo! Daj się uściskać: niech ból mi
 Rozkraje serce, jeśli kiedykolwiek
 Nienawidziłem ciebie albo ojca.

EDGAR: Dostojny książę, wiem o tem.

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Gdzieś waszmość
 Dotąd się skrywał? Skąd znałeś niewolę
 Ojca?

EDGAR: Bom ja go, panie, pielegnował.
 Racz-że posłuchać krótkiej opowieści,
 A gdy opowiem, niech mi serce pęknie!
 Chcąc ujść krwawego wywołania, które

Tak mnie ścigało — o, ta słodkość życia,
Że godzinami wolimy w śmiertelnych
Umierać mękach, niż umrzeć odrazu! —
Wziąłem na siebie łachman obłąkańca,
Przybrałem postać, że psy nią gardziły
I w takim stanie napotkałem ojca
Z krwią zbroszonemi pierścieńcami, z których
Drogie wydarto kamienie: i odtąd
Byłem mu stróżem, który go prowadził,
Zebrał dla niego, chronił od rozpaczy.
Nigdy — o błędzie! — nie dał mu się poznać,
Dopiero teraz, pół godziny temu,
Gdym był uzbrojon; niepewny, a przecież
Mający skutku dobrego nadzieję,
Poprosiłem go o błogosławieństwo
I o tułactwie swem opowiedziałem
Rzecz od początku do końca. Niestety,
Znękane serce, zbyt wątle, by zniosło
Spór sprzecznych uczuć, bólu i radości,
Pękło z uśmiechem...

EDMUND: Wzruszają mnie twoje
Słowa i może sprawią coś dobrego.
Ale mów dalej; wyglądasz, jak gdybyś
Jeszcze coś więcej miał do powiedzenia.

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI:

Masz-li coś więcej, coś, co bardziej boli,
To się powstrzymaj, albowiem, słuchając,
I jam się gotów rozplynać.

EDGAR: Tym ludziom,
Którzy nie lubią smutku, zdałoby się,
Że na tem dosyć, ale był ktoś inny,
Co, chcąc powiększyć to „więcej“, do szczytu
Ostateczności w tem doszedł.
Gdym ginał z jęków, pojawił się człowiek,

Który w najgorszym spostrzegłszy mnie stanie,
Mego wstrętnego unikał widoku.

Atoli potem, poznawszy, kto jest ten,
Co tyle mówi, silnemi ramiony
Objął mą szyję i zawył tak głośno,
Jakby chciał niebo rozsadzić; na mego
Rzucił się ojca, począł opowiadać
Bolesne dzieje Lira oraz swoje,
O jakich ludzkie nie słyszało ucho.
A gdy to mówił, ból jego potężniał,
Tak, że poczęły rwać się struny życia.
A wtem zagrały surmy po raz drugi
I jam zostawił go bez zmysłów.

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Któż to?

EDGAR: Kent, miłościwy panie, Kent wygnany,
Który w przebraniu szedł za wrogim królem,
Spełniając służby, jakie nie przystoją
Niewolnikowi!

(wpada SZLACHCIC z zakrwawionym nożem w rękę)

SZLACHCIC: Na pomoc! Na pomoc!

EDGAR: Komu na pomoc?

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Gadaj-że, człowieku!

EDGAR: Co znaczy nóż ten skrwawiony?

SZLACHCIC: Gorącą

Krwią jeszcze dymi. Dopiero co wyszedł
Z serca — — — już ona umarła!

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Kto umarł?

Gadaj człowieku!

SZLACHCIC: Panie, twa małżonka,
Twoja małżonka! I siostra jej padła,
Otruta przez nią. Sama to wyznała.

EDMUND: Byłem zaręczon z obiema. My troje
Poślubiliśmy się razem tej chwili.

EDGAR: Kent tu nadchodzi.

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI: Przynieście ich ciała,
 Żywe czy zmarłe. Dreszczem nas przejmuję
 Ten sąd niebiosów, litości nie budzi.

(*wychodzi* SZLACHCIC — *wchodzi* KENT)

To on jest? Pora nie pozwala na to,
 Aby go przyjąć, jak każe obyczaj.

KENT: Przyszedłem memu powiedzieć królowi
 I memu panu dobranoc na zawsze!
 Niema go tutaj?

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI: I zapomnieliśmy
 O czymś tak ważnem! Powiedz nam, Edmundzie,
 Gdzie król się podział i gdzie jest Kordelja?

(*przynoszą zwłoki Goneryli i Regany*)

Widzisz ten obraz, Kencie?

KENT: Co to znaczy?

EDMUND: A przecież Edmund był kochany! Jedna
 Otruła drugą dla mnie, potem sama
 Zabiła siebie.

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI: Tak jest! Zakryć twarz ich!

EDMUND: Rwę się do życia! Chciałbym coś dobrego
 Zdziałać wbrew swojej naturze. Co prędzej —
 Tylko natychmiast — poślijcie na zamek,
 Albowiem w życie Lira i Kordelji
 Godzi mój rozkaz. Nie zwlekajcie!

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI: Pędźcie,
 Pędźcie, o, pędźcie!

EDGAR: Do kogo, milordzie? —
 Któż ma zlecenie? Poślijcie od siebie
 Znak odwołania.

EDMUND: Dobrześ pomysł, weź mój miecz i daj go
 Kapitanowi.

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI: Śpiesz się, na twe życie!

(EDGAR *wychodzi*)

EDMUND: Ma on zlecenie od twojej małżonki
 Oraz ode mnie powiesić Kordelję
 W kaźni i winę zwalić na jej rozpacz,
 Jakoby sama wzięła sobie życie.

KSIAŻĘ ALBAŃSKI:

Niechże bogowie jej bronią! Wynieść go tymczasem!
(wynoszą EDMUNDA)

*(Wraca LIR z zwłokami KORDELJI w ramionach. —
 KAPITAN i inni)*

LIR: Wyjcie! O, wyjcie! O! jesteście z głazu!
 Gdybym miał język wasz i wasze oczy,
 Miałbym je nato, ażeby roztrzaskać
 Sklepisko niebios... Odeszła na wieki!
 Wiem ja, kto martwy, a kto żywy!... Ona
 Martwa, jak ziemia! Podajcie zwierciadło,
 Jeśli jej oddech pozostawi jakąś
 Mgielkę czy plamkę na płycie lustrzanej,
 To ona żyje.

KENT: Czy to już jest koniec
 Zapowiedziany?

EDGAR: Obraz jego grozy?

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Niech świat się wali!

LIR: Piórko się ruszyło —

A, ona żyje! A jeżeli żyje,
 Traf ten okupi wszystkie te niedole,
 Którem wycierpiał.

KENT: O dobry mój panie!
(kłęka)

LIR: Proszę cię, odstęp!

EDGAR: Zacny Kent, przyjaciel
 Waszej miłości.

LIR: O, zaraza na was,
 Mordercy! Zdrajcy!... Kordeljo! Kordeljo!
 Poczekaj chwilę! Ha! Co mówisz? Głos jej

Zawsze był słodki, łagodny i cichy,
Nieoceniona jest to rzecz w kobiecie.

Zabiłem łotra, który cię powiesił!

KAPITAN: Prawda, panowie, on go zabił...

LIR: Powiedz,

Czym go nie zabił? Był czas, który mogłem
Zmusić do tańca tą zacną, tą ostrą
Szabelką moją. Dzisiaj jestem stary,
Te krzyże moc mi zabrały... Kim jesteś?
Z memi oczami nie najlepiej. Czekaj,
Zaraz ci powiem.

KENT: Jeżeli fortuna
Dwoma się może pysznić ludźmi, których
Nienawidziła i kochała, mamy
Z nich tu jednego przed oczami.

LIR: Ciemno!

Ty jesteś Kent?

KENT: Tak, Kent, twój sługa, panie.
A gdzie twój sługa Kajus?

LIR: Dobry chłopak;
Mogę to mówić, dobrze bił i rażno...
Umarł i gnije...

KENT: O nie, miły panie,
To ja nim jestem!

LIR: Zaraz to zobaczę.

KENT: On, co od pierwszych chwil twego upadku
I twoich nieszczęść szedł krok w krok za tobą.

LIR: Witam waszmości.

KENT: Któż to mógł być inny?
Wszędzie jest ciemno, smutno, beznadziejnie.
Starsze twe córki same się targnęły
Na swoje życie, albo rozpaczliwą
Umarły śmiercią.

LIR: Tak ja sobie myślę.

KSIAŻĘ ALBAŃSKI:

Nie wie, co mówi. Próżnobyśmy teraz
Dawali mu się poznać.

EDGAR: Nadaremnie.

(wchodzi KAPITAN)

KAPITAN: Edmund nie żyje, mości książe.

KSIAŻĘ ALBAŃSKI: Sprawa

Dla nas podrzędna. Szlachetni panowie
I przyjaciele, słuchajcie naszego
Postanowienia. Wszelaka pociecha,
Jaką dać można tej wielkiej ruinie,
Zastosowana tu będzie. Co do nas,
To, póki żyje ten królewski stąrzec,
Pragniemy naszą odstąpić mu władzę.

(do Edgara i Kenta)

Wy, dwaj panowie, wejdźcie w swoje prawa,
I to z naddatkiem i taką nadwyżką,
Na jaką więcej niżli zasłużyły
Wasze miłości. Wszyscy przyjaciele
Mają zapłatę mieć za swoje cnoty,
A zaś wrogowie niechajże kosztują
Z czary swych grzechów... Patrzajcie! Patrzajcie?

LIR: A ten mój biedny błazen powieszony!
Nie! Nie ma życia! Pies, koń, szczur ma życie,
A ty ni zipniesz? O, ty już nie wrócisz!
Nigdy, przenigdy, nigdy, nigdy, nigdy!
Proszę mnie rozpiąć!... Dziękuję ci, panie!
Czy to widzicie? Popatrzcie się na nią!
Patrzcie — jej wargi — patrzcie! patrzcie! patrzcie —

(umiera)

EDGAR: Mdleje!... O panie, miłościwy panie!

KENT: Pęknij, me serce, błagam ciebie, pęknij!

EDGAR: Spójrzyj, mój królu!...

KENT: Nie męcz jego ducha!
 Niechże uleci! Byłby jego wrogiem,
 Ktoby go jeszcze chciał rozciągać dłużej
 Na tej torturze upadłego świata.

EDGAR: Odszedł naprawdę.

KENT: Dziw, że dotrwał dotąd!
 On li przywłaszczał sobie życie.

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI: Trzeba
 Wynieść te ciała... Powszechna żaloba
 To na dziś sprawa....

(do Kenta i Edgara)

Druhowie mej duszy,
 Rządźcie i leczcie państwo z tych katuszy.

KENT: Muszę się, panie, wkrótce udać w drogę,
 Mój pan mnie woła, „nie“ rzec mu nie mogę.

KSIĄŻĘ ALBAŃSKI:
 Trzeba nam znosić brzemię czasu wraże,
 Mówić, jak czuję, nie, jak zwyczaj każe.
 Najstarszy zniósł najwięcej, myśmy młodzi,
 Ni wiek nam taki ni ból nie dogodzi.

KONIEC TRAGEDJI.



»WIELKA BIBLIOTEKA«

ARCYDZIEŁA LITERATURY POLSKIEJ I OBCEJ.

- Nr. 1. Z. Krasiński: „IRYDJON“
- „ 2. A. Mickiewicz: „KONRAD WALLENROD“
- „ 3. St. Wyspiański: „WESELE“
- „ 4. A. Dante: „BOSKA KOMEDJA“ I. Piekło
- „ 5. „ „ „ „ II. Czyściec
- „ 6. „ „ „ „ III. Raj
Przekład E. Porębowicza.
- „ 7. J. Słowacki: „ANHELLI“
- „ 8. J. Kochanowski: „TRENY“
- „ 9. J. Kasprówic: „HYMNY“
- „ 10. I. Krasicki: „SATYRY“
- „ 11. K. Brodziński: „WIESŁAW“
- „ 12. W. Shakespeare: „KRÓL LIR“
Przekład J. Kasprówicza.
- „ 13. H. Rzewuski: „PAMIĄTKI SOPLICY“
- „ 14. J. Gordon Lord Byron: „DON JUAN“ T. I.
- „ 15. „ „ „ „ „ „ T. II.
Przekład E. Porębowicza.
- „ 16. J. Słowacki: „W SZWAJCARJI“
- „ 17. A. Mickiewicz: „PAN TADEUSZ“
- „ 18. C. K. Norwid: „PROMETHIDION“
- „ 19. A. Mickiewicz: „GRAŻYNA“
- „ 20. A. Fredro: „ZEMSTA“
- „ 21. W. Syrokomla: „URODZONY JAN DĘBORÓG“
- „ 22. H. Ibsen: „PEER GYNT“. Przekł. J. Kasprówicza.
- „ 23. „ „ „BRAND“. Przekład J. Kasprówicza.
- „ 24. Z. Krasiński: „NIE-BOSKA KOMEDJA“
- „ 25. J. Słowacki: „LILLA WENEDA“

Nr. 26. J. U. Ni

„ 27. J. I. Kras

„ 28. A. Fred

„ 29. W. Syrc

„ 30. J. U. Nie

U.92846



39092846000000

„ 31. J. Słowacki: „JAN BIELECKI“

„ 32. F. Schiller: „DZIEWICA ORLEAŃSKA“

„ 33. A. Asnyk: „ALBUM PIEŚNI“

„ 34. C. K. Norwid: „KRAKUS — WANDA“

„ 35. J. Słowacki: „BALLADYNA“

„ 36. J. Korzeniowski: „KARPACCY GÓRALE“

„ 37. J. Słowacki: „OJCIEC ZADŻUMIONYCH“

„ 38. St. Wyspiański: „WARSZAWIANKA“

„ 39. St. Witkiewicz: „MICKIEWICZ JAKO KO-
LORYSTA“

„ 40. K. Ujejski: „SKARGI JEREMIEGO“

„ 41. A. Mickiewicz: „DZIADY“

„ 42. J. Kochanowski: „PIEŚNI“

„ 43. S. Pellico: „MOJE WIĘZIENIA“

„ 44. J. Kochanowski: „ODPRAWA POSŁÓW
GRECKICH“

„ 45. A. Mickiewicz: „BALLADY I ROMANSE“

„ 46. A. Mickiewicz: „SONETY I SONETY
KRYMSKIE“

„ 47. J. Kochanowski: „POEMATY“

„ 48. K. Brodziński: „O KLASYCZNOŚCI I RO-
MANTYCZNOŚCI“

„ 49. K. Brodziński: „O NARODOWOŚCI POLA-
KÓW“

„ 50. J. I. Kraszewski: „PAMIĘTNIK MROCZKA“.

Dalsze tomy w druku.

<http://rcin.org.pl>